

# ODRODZENIE

TYGODNIK

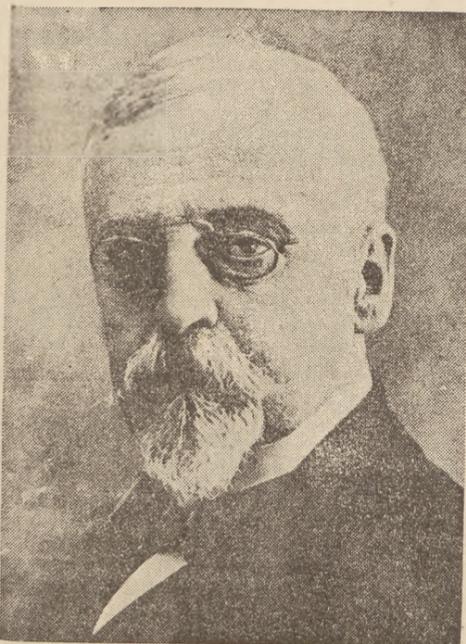
Rok III

Kraków, dnia 18 sierpnia 1946 r.

Nr 33 (90)

K. W. ZAWODZIŃSKI

## Stulecie trójcy powieściopisarzy



Henryk Sienkiewicz

niewątpliwie usposabia raczej niechętnie do pomysłu wiązania w nową trójcę przedstawicieli realizmu powieściowego w Polsce.

Trzeba jednak powiedzieć, że „trójce” w literaturze nie są wynalazkiem specyficznym polskim; przynajmniej od czasów aleksandryjskich układano kanony najwybitniejszych dzieł i twórców, chętnie posługując się przy tym uświęconymi liczbami: trójka, siódemka, dziesiątka, dwunastka. Dość wspomnieć, jako najbliższą analogię, trójcę tragików greckich.

Nigdy zaś chyba, a szczególnie w wypadku „trójcy wieszczów”, której spoistość była od dawna podważana od strony krytyków Kraśnickiego i w której w sposób zbyt oczywisty zostały połączone zupełnie niewspółmierne organizacje twórcze i pisarzy różnych generacji — nie nasuwała się bardziej naturalnie, „sama przez się”, konieczność łącznego rozpatrywania trojga pisarzy, prawie równiejących, działających w tej samej epoce, na terenie tego samego gatunku literackiego, wydających swe arcydzieła w tym samym bardzo ograniczonym wycinku czasu, twórców, wśród których trudno ustalić jakąś obiektywną hierarchię wielkości, których jednak wyrastanie ponad wszystkich im współczesnych daje się zaobserwować z całą oczywistością. Innymi słowy: wybór największego z nich może być tylko rzeczą indywidualnego upodobania, żaden natomiast powieściopisarz ich epoki nie może być nawet porównany z którymś z nich; uparcie podtrzymywana legenda o wielkości Dygasińskiego nie oprze się najładniejszej analizie krytycznej jego tak licznych utworów.

Stulecie narodzin Orzeszkowej przypadło i przypadło w najczarniejszych dniach wojny i katakumbowego bytowania kultury polskiej. W kraju żadna oczywiście forma publicznego uczczenia tej rocznicy nie była możliwa. Nie wiem, bo nie przeglądałem pism z 1942 r. (ani o rok wcześniejszych — bo np. A. Drogoszewski podaje jako rok urodzenia Orzeszkowej 1841), czy odbiła się ona jakimś echem w prasie emigracyjnej, która była zajęta bardziej palącymi kwestiami.

Pospieszono się za to ze stuleciem Prusa i gdzieś zabierano się do jego obchodzenia już w ubiegłym roku, ponieważ istnieją poważne podstawy do mniemania, iż jego oficjalna, według metryki, data urodzin 1847 jest o dwa lata późniejsza od rzeczywistej. Do uroczystości nie doszło, jak się zdaje, ze względów organizacyjnych, redakcyjne również zbyt późno pomyślały o rocznicy, więc prawie nigdzie nie znajdujemy jej echa. Nie ma zaś wielkiego sensu jej święcić w sierpniu przyszłego roku, wobec quasi-pewności, że data metryki jest fałszywa: dokumenty tak poważne jak uchwały dobrze chyba uświadomionej w tej sprawie rady rodzinnej mówią o młodocianym Aleksandrze Głowackim jako o chłopcu o dwa lata starszym niżby to wynikało z jego metryki.

Pewna zato jest data urodzin Sienkiewicza (różnica jednego dnia — w artykułach pod jego okiem drukowanych — 5 maja, w metryce — 4 tegoż miesiąca — świadczy tylko prawdopodobnie, że urodził się on w nocy z 4 na 5 maja 1846). Możemy więc też z całą prawie pewnością twierdzić, że był on najmłodszy wiekiem spośród trojga znakomitych powieściopisarzy polskich jego epoki. Setna rocznica urodzin najstarszego z nich za życia, pierwszego polskiego laureata nagrody Nobla i najpopularniejszego poza granicami Polski jej pisarza jest ostatnią oficjalną, dostatecznie uzasadnioną okazją świętowania jubileuszu trójcy powieściopisarzy „okresu pozytywistycznego”, w którym stanowili oni czoło literatury polskiej.

Można jednak zadać pytanie, czy ma jakiś sens łączenie ich przy tych wspominkach? Stwarzanie z nich nowej „trójcy”? I czy w ogóle potrzeba, szczególnie w tym wypadku i czasie, ulegać sugestii okrągłej liczby lat i oddawać hołd tradycji „jubileuszów”, szanując zwyczaj tak często czczonych obrzędów świeckiej liturgii życia społecznego? Rozważmy kolejno te zapytania.

Dokuczliwość wieloletniego panowania „trójcy wieszczów” w polonistyce, niepamięć żadnej sposobności do pomówienia o niej (najczęściej w tonie adoracji wynoszącej ją do rangi ponadludzkiej doskonałości, rzadziej w tonie trzeźwego sądu, wyjątkowo — „plując na waszą romantyczną trójcę”), łącznie z próbami, tego lub owego historyka literatury, utworzenia innych trojek pisarzy polskich,

cie aktualnym zwłaszcza dziś, gdy mówi się tak dużo o realizmie, który stał się naczelnym postulatem literatury.

Można się obawiać, żeby nie przedłużyło się „zaleniwienie” naszej krytyki, zaznaczające się w stosunku do dziedzictwa epoki pozytywistycznej. Jeśli mówi się o niej sporo, to prawie zawsze wychodząc z niewentylowanych od lat kilkudziesięciu sądów i ocen. Nawet studia specjalne przyjmują z dobrodziejstwem inwentarza, jako niewzruszone pewniki, wyniki głosowania krytyki „bieżącej”, współczesnej powieściopisarzom, zbanalizowane w podręcznikach literatury, nie kontrolując ponownym, a zwłaszcza krytycznym odczytaniem ani bezwzględnej wartości utworu, który jest tematem tych studiów, ani jego względnego stanowiska w hierarchii pomiędzy innymi utworami autora. Stąd uparte zalecanie „Faraona” na rynek międzynarodowy, które należy postawić obok innych błędów w propagandzie kulturalno-artystycznej Polski; stąd mit o realizmie obrazu Warszawy sprzed pierwszej wojny, utrwalonego jakoby w dziele Prusa i, do pewnego stopnia w konsekwencji tego, uprzywilejowane stanowisko „Lalki”. Stąd potocznie przyjęte obrazy syntetyczne twórców: Orzeszkowa jako poczciwa nauczycielka grodzieńska; Sienkiewicz jako genialny arbiter elegancji, wytworny olimpijczyk, lub (albo i równocześnie) zawieszisty sarmata, Sodalis Marianus, „żubr” i „feudał” (według najnowszej terminologii) z Oblęgorka; Prus — jako postępowiec warszawski, gdyby żył dzisiaj, byłby redaktorem „Nowej Epoki”.

Chodzi więc o to, aby z okazji jubileuszu miarodajna krytyka odczytała na nowo dzieła, na których pod wpływem zewnętrznego, że tak powiem, przymusu, przymusu konwensów obyczaju literackiego, zmuszona jest skupić swą uwagę; aby zajęła w tej sprawie nowe „stanowisko”, o ile możliwości niezależne od tradycji ciężące dotychczas na ocenie tych pisarzy; żeby, o ile to jest w ogóle możliwe, ustaliła tę ocenę sub specie aeternitatis, aby wzniosłszy się nad fluktuacje mody, nad troski dnia dzisiejszego, wykryła i oceniła bezwzględne wartości estetyczne ukryte w odczytanych na nowo książkach, a choćby rzeczywiście ich zasługi historyczne. Nie tylko odpowiedni dystans, odpowiednia perspektywa umożliwi i ułatwi to zadanie. W nie mniejszym stopniu — zwłaszcza gdy chodzi o realistów — zmuszą do oceny ich dzieła „pod kątem wieczności” i wyłącznie jako dzieła literackiego, zmiany zaszły w otaczającej rzeczywistości: obrót rzeczy o 180 a czasem o 360 stopni. Rzeczywistość odtwarzana przez realistę odeszła bezpowrotnie w przeszłość; możemy więc niezależnie od koniunktury politycznej czy ekonomiczno-społecznej, wyzwoleńszy się od naszego do niej podejścia, rozpatrywać jak i o ile trafnym zarysem i wiecznotrwałymi barwami odbiła się ona w dziele artysty.

Rozszerzenie się w tak obszernym materiale dziele, jakim jest twórczość trójcy naszych powieściopisarzy, po prostu ponowne jej odczytanie, przemyślenie i przyzwroite uza-



Eliza Orzeszkowa

sadnienie sądu — nie jest sprawą dającą się załatwić na kolanie, krótkim, indywidualnym wysiłkiem, ani też sprawą mieszczącą się w ramach jednego artykułu w tygodniku. To też uwagi, które mam zamiar skreślić, mają charakter raczej propozycji, sugestji, punktu wyjścia dla płodnej, miejmy nadzieję, dyskusji.

Płodna ona będzie, jeśli wyłoni nie jakąś jedną, jednolitą u wszystkich krytyków opinię — tego się spodziewać nie można — lecz jeśli zaznaczy się w chórze ocen jakaś wspólna tendencja, „znizkowa” lub „zwyżkowa”; jeśli wreszcie można będzie na podstawie „wachlarza” ocen ustalić jakąś „przeciętną”, która pomimo różnic indywidualnych odzwierciedli poczuje wagi a przynajmniej aktualności artystycznej i społecznej pisarza, a tym samym jego dalszego, po rewizji, stanowiska w literaturze.

SIENKIEWICZ

Najmniej wydatne rezultaty przyniesie ta rewizja, jak myślę, w stosunku do Sienkiewicza; najmniej chyba przeciętna sądów o tym pisarzu, taka jaka się dziś da ustalić, odbiegnie od przeciętnej sprzed pół wieku czy lat trzydziestu pięciu.

Mówię o przeciętnej, bo w niej skrajne głosy nieprzytomnego ubóstwienia równoważone były głosami trzeźwego umiarkowania, jakie słyszeliśmy jeszcze na ławie szkolnej z ust przedstawicieli starszego pokolenia (pamiętam np. odezwane się wybitnego nauczyciela-polonisty, Władysława Nowickiego, magistra Szkoły Głównej, więc kolegi uniwersyteckiego Sienkiewicza; zresztą już Chmielowski z burzeniem notuje stawianie „Ogniem i mieczem” obok „Pana Tadeusza”) oraz przez gwałtowne ataki młodych wówczas ikonoklastów, towarzyszące przeciwnikom ideowym i polityczno-społecznym stojącego u szczytu sławy pisarza. Tak samo i do dzisiejszej, a przynajmniej bardzo niedawnej „przeciętnej” trzeba „wrachować” głosy wielbiące Sienkiewicza jako najgenialniejszego pisarza polskiego (np. często w tym sensie wystąpienia pewnego znakomitego publicysty przedwrześniowego, we własnym dzienniku, będącym jednym z najważniejszych i najżywczych organów prasy „dwudziestolecia”).

Daleki jestem od aprobaty tych głosów, które tu rejestruję bez rozpatrywania; i jeśli w dalszych moich uwagach znajdę się niejedną pochwałą dla autora „Bartka zwięźczy” i „Ogniem i mieczem”, to muszę się z góry zastrzec przeciw doszukiwaniu się ich źródła w mojej osobistej sympatii dla pisarza i jego twórczości. Przeciwnie, wolę od razu wyznać, że mogę być w tej sprawie złym sędzią i podlegającym odwołaniu z uwagi na stronniczość. Wynika ona z mego uformowania się w ramach mojej generacji. Choć jako chłopiec karmiłem się „Trylogią”, na progu



Bolesław Prus

młodości „durnej i jurnej“ (a wiadomo: „Młodość, mistrzu, jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały...“), jak tylko zacząłem dochodzić do świadomości i samodzielnego stosunku do sztuki słowa, przylgnąłem do nowatorów ówczesnych, wiodących akurat wojnę z Sienkiewiczem. I chociaż dość szybko zbuntowałem się przeciw „Młodej Polsce“ (że to młodość „mija sparko“), nie umiałem jednak nigdy pokonać w sobie antypatii do reprezentatywnego w jej pojęciu „filistra“, wyobraziciela mieszczańskiego systemu etyki, pochwalającego wszystkie społeczne konwenanse i obudy. Jego trzeźwość i umiarkowanie, jego wystrzeżenie się głębi i ślizganie się po powierzchni istnienia, jego religijność (podobno, jak informowano mnie ze strony dobrze uświadomionej, tylko *foro externo*, osobście Sienkiewicz pozostawał pono „niewierzącym“), zadowolająca się argumentem, że „msza się wciąż odprawia“, nie mogły imponować w epoce „tęsknot metafizycznych“ i rodzenia się nowych ruchów „religijnych“ tęponych wprawdzie przez kościół oficjalny („modernizm katolicki“), w koncu jednak, niektórymi swymi odnogami, bardzo silnie wpływających na oblicze i metody aktywnej części katolicyzmu. Toteż nie bez „Schadenfreude“ podnosiłem przy różnych okazjach, naturalne w tych warunkach szydercze echa światowej popularności „Quo vadis“, i to zarówno od strony sceptyków i ateistów, jak A. France, jak też i od strony walczącego katolicyzmu (Leon Daudet, który w specjalnym szkicu analizuje tę powieść jako przykład „fałszywego arcydzieła“, *un faux chef-d'oeuvre*; tak samo L. Bloy).

Ale przecież sama liczba tych ech, pomnażających się choć już powolnie, w okresie międzywojennym, dowodzi popularności tej jedynej książki polskiej, naprawdę i bez wszelkiej zachęty z naszej strony czytanej w szerokim świecie. Podobnie o wiele większą popularność innych znów jego utworów w ojczyźnie, dowodzi popularności niewątpliwie zasłużonej.

Nie ma tak skromnego rzemiosła, które by nie mogło, na pewnym stopniu doskonałości, osiągnąć rangi sztuki. Uświadomiłem to sobie kiedyś, patrząc na pracę starego pakarza, przyslanęganego przez dom przewozy: zdawałoby się, każdy umie owijać papierem i obwiązywać sznurkiem, ale szybkość i precyzja ruchów, elegancja rezultatów tego specjalisty, wywoływały zdumienie i zachwyt „estetyczny“.

Umiejętność ułożenia sensacyjnej fabuły, zaintrygowania czytelnika, nie jest zwykle zaliczana do rzędu najważniejszych kwalifikacji genialnego powieściopisarza; w krajach anglosaskich, gdzie powieść sensacyjna, kryminalna i awanturzysta jest przedmiotem masowej produkcji, umiejętność ta stanowi bodaj przedmiot nauczania jak każde inne rzemiosło. A przecież porównajmy przeciętny wytwór tego rzemiosła, ba, nawet utwór nie byle jakiego majstra, jakim był J. Verne, z powieścią Sienkiewicza, przedstawiającą wyraźne analogie, jeśli idzie o tematy i miejsca akcji („Piętnastoletni kapitan“ a „W pustyni i w puszczy“) — jaka kolosalna różnica. Nie tylko „zaglądaliliśmy w zakończenie powieści“ — znamy ją dobrze — ale z zapartym oddechem czytamy te nawet partie, w których sytuacja nie zmienia się — statyczne momenty akcji np. ucieczka Arabów z porwanymi dziećmi przez pustynię. Jest tu jakiś genialny zmysł równowagi, zachowanej między czasem realnym zdarzeń a ich przedstawieniem, między dłużącą się dla bohaterów i dla czytelników monotonią sytuacji a jej urozmaiczeniem wątkowym i dekoracyjnym.

Tego się nie zdobędzie nawet w amerykańskiej szkole nowelistyki czy pisania powieści sensacyjnych. A przecież coś wspólnego łączy Sienkiewicza z udułym absolutem takiej szkoły. Przy odczytywaniu w czasie wojny drobnych, częściowo zapomnianych, przeważnie wcześniejszych plodów pióra naszego pisarza, wszędzie ukazywał mi się doskonały „literat“, znakomicie przygotowany do swego zawodu. Czy pisze felieton, choćby krótką notatkę „brukową“, czy reportaż z podróży lub nowelę na tle poznanej własnie egzotycznej rzeczywistości, czy studium historyczno-literackie albo rozważanie jakiejś ważnej kwestii, aktualnie dyskusyjnej w kołach artystycznych — każde wystąpienie wykazuje jego dokładne poinformowanie, przemyślenie i celowość użytej formy, jasne rozplanowanie pracy, przekonywające wywody. Jego np. studium o „naturalizmie“ straciwszy dla nas posmak polemiczny, zgadza się całkowicie z wnioskami doskonałej książki specjalisty dzisiejszego od tej epoki: P. Martino („Le naturalisme français“ Collection Armand Colin). Umiejętność pisania (język Sienkiewicza jest zawsze z tego punktu widzenia ponad wszelkie pochwały) jest to język „klasyczny“ we wszelkich znaczeniach tego słowa, aż kokietyjający w późniejszych utworach manieryczną, świadomą swych wdzięków prostotą, zwłaszcza w sentencjach „filozoficznych“, wkładanych w usta dodatknych bohaterów) oraz doskonale przygotowanie czynią zeń wzór „zawodowego literata“, którego innym przykładem w naszym piśmiennictwie jest Kraszewski; różnice między nimi wynikają z nadludzkiej,

ale i nadmiernej czasami płodności piarskiej starego mistrza.

Zalety „Trylogii“ jako obrazu historycznego świadczą również o znakomitym przygotowaniu autora. Co do „Potopu“, przynajmniej to nawet ci zoile, którzy w „Ogniem i mieczem“ widzą błędy szczegółowe (sami nie wiedząc, że chorągiew „kozacka“ jest ówczesnym synonimem „pancernej“) i zasadnicze skrzywienie rzeczywistości historycznej; ale i o nie z punktu widzenia artystycznego mniejsza, skoro choćby język dialogów jest nieprześcignioną dotąd stylizacją XVII w. Tylko przygotowanie historyczne umożliwiło bogaty sztafaż obrazu, stanowiący o jego barwności i wyrazistości, swobodę, z jaką Sienkiewicz obraca się wśród realistów ówczesnego życia, tak jakby znane mu było z bezpośrednio obserwacji. Nie powieści „współczesnej“, przeważnie ubogie (zwłaszcza „Bez dogmatu“) jako obrazy ówczesnego świata, lecz powieści historyczne, (wyjątek nie podważający ogólnego prawda o typowości dla realizmu malowidła współczesnej, codziennej, każdemu dostępnej, sprawdzalnej rzeczywistości) stanowią tytuł przynależności Sienkiewicza do trójcy reprezentantów realizmu powieściowego w Polsce. Pewne wątpliwości co do tego tytułu mogą powstać dopiero, gdy się weźmie pod uwagę niektóre niezauważane dotąd jego mankamenty czy właściwości, o których potem.

Do nich nie należą moim zdaniem powszechnie znane i nie rzadko wytykane pływaczynie jego psychologizmu. Zwłaszcza zbyt dużą doskonałością postaci Skrzetuskiego martwili się krytycy „Trylogii“, jako jednym z jej głównych błędów estetycznych. Ale czy w swej doskonałości przewyższa on wiele np. Wołodyjowskiego? Prawda, jest piękne go wzrostu i ma piękną czarną brodę, gdy tamten kucyk i ma śmieszne płowe wąsiki, a z tym wszystkim jest kochliwy: ale czy to wyposaża małego rycerzka w całe skomplikowanie natury ludzkiej, w każdej chwili miotanej sprzecznymi uczuciami? A z drugiej strony czy czyni go mniej doskonałym sub specie aeternitatis, a przynajmniej w galerii fikcyjnych przedstawicieli heroicznej Polski? Lub weźmy Kmiecica: czy poza błędami wynikającymi z gwałtowności, jedynej wady jego charakteru, nie jest równie godny tej galerii? I nie ma nic złego: wszyscy oni stanowią odmiany — (dość wyraźne, żeby się nie pomylić co do osoby, i żeby urozmaicić fabułę prawdopodobnym udziałem, takiego właśnie, odpowiedniego do sytuacji bohatera) — doskonałe poza tym, jak i ich towarzysze, „idealnego“\*) amanta romansowego, jeune premier wspaniałej feerii powieściowej.

Subtelności psychologiczne, wysuwanie na pierwszy plan wewnętrznego życia działających postaci, byłoby sprzeczne z zasadniczymi postulatami podgatunku literackiego, do którego należą najcenniejsze powieści Sienkiewicza i zamazywałoby często fabularny ich artystyczny i rys barwnego obrazu świata zewnętrznego. Nieliczne epizody ukazujące walkę wewnętrzną bohaterów w obliczu decyzji, np. patetyczne zmaganie się pychy osobistej z obowiązkiem patriotycznym w duszy wyidealizowanego wbrew historii księcia Jeremiego, nie mają charakteru realistycznego odwrócenia przeżyć, lecz raczej czegoś w rodzaju alegorycznych zapasów uosobionych namiętności o duszę człowieka w misteriach średniowiecznych.

Dopiero w kontekście powieści „współczesnej“, „obyczajowej“, czy „psychologicznej“, jaką np. w zamierzeniu jest „Bez dogmatu“ okazuje się niedostateczność psychologizmu Sienkiewicza. Ale i w tym sąd potonności potwierdza tylko sąd współczesników, sąd sprzed półwiecza. Już wówczas, pomimo sugestii nazwiska, nakazującego przychylnie, a przynajmniej ogledne stanowisko krytyki, pomimo mody na takie powieści w Europie, przyjęcie tych utworów przez publiczność nie daje się porównać z sukcesem powieści historycznych. Opinię powszechną o „Polanieckich“ jako o najslabszym utworze Sienkiewicza notuje I. Matuszewski w 1897 r. pisząc

\*) Ponieważ zaś w wyścigu z przeskodami do serca i ręki bogdanik bohater powinien mieć rywala — nie całkiem porównawego szans jako „konkurent“, ale tak ustawionego, żeby sympatia czytelnika, trwożenie śledzącego losy „płocznego amanta“ nie zachwiała się, broń Boże, na korzyść rywala (bo to mogłoby wpłynąć na zmniejszenie zainteresowania, związanego z jego powodzeniem, tj. z doprowadzeniem powieści do pomyślnego rozwiązania, połączone z uwiecznieniem cnoty stosowną nagrodą — wieńcem Hymenu). Wice rywal jest umieszczony we wrogim obrotzie, jest kozakiem w „Ogniem i mieczem“, stronniakiem szwedzkim w „Potopie“, zdradca gotowym również ze względu na pochodzenie solidaryzować się z najzdemotowanym turecko-tatarskim „Panu Wołodyjowskim“. Ten postulat formalny obranego przez Sienkiewicza typu powieści, mniej szczegółowie tylko, niż w ostatnim wypadku, gdzie autor „opie“ — posługuje się postacią fikcyjną, lub gdy w „Potopie“ z niejakim prawdopodobieństwem charakteryzuje do tej roli księcia Bogusława — rozwiązany został wyraźnym przełazem historii: czej postaci Bohuna. Iwan Bohun, jeden z najpoważniejszych członków starszyzny kozackiej — grupy społecznej walczącej o przeloczenie się w arystokrację lokalną, reprezentantkę religijnych, społecznych i narodowościowych dążeń Ukrainy, niedługo jej oficjalnej szlachty, a i teraz szlachectkiej bardzo często z pochodzenia, zwaną obyczajem i stylem życia ze szlachty polska — Bohun (czytelnik nie wie nawet, że to nazwisko, że przy nim jest imię chrześciane: gotów myśleć, że to jakieś przeinaczenie od imienia Bohdan), ojciec dorosłego syna, naczelnny wódz w końcowej fazie bitwy pod Beresteckiem (o czym wie zresztą i mówi sam Sienkiewicz) w roli sentymentalnego „wataki“, pochłoniętego pogonią za podwiką — to jeden ze śmieszniejszych błędów historycznych „Ogniem i mieczem“.

o „Quo vadis“ („Swoi i obcy“). Dziś, jeżeli wolno uogólnić osobiste wrażenia, „Bez dogmatu“ jest szczytem nudy, a jego problematyka co chwila ociera się o śmieśność. Nie odczytywałem od dawna „Polanieckich“, (a warto by ze względu na pochlebny sąd wielkiego Tolstoja o tym utworze); w każdym razie nigdzie nie słycała, żeby wymieniono „Polanieckich“ obok innych powieści malujących społeczeństwo polskie sprzed pół wieku, do których zwracamy się z ciekawością, nawet gdy nie są dziełami Prusa czy Orzeszkowej. Z tego względu wznowiono ostatnio (prędzej chyba jako reportaż z owej epoki) utwory A. Gruszeckiego. Prawda, że nowele Sienkiewicza, nie historyczne lecz współczesne, zwłaszcza na tle ludowym, do dziś dnia są czytane i wysoko, z całą słusnością, cennie; zauważyć jednak należy, że poza tym, iż są one jeszcze jednym świadectwem kompozycyjnego talentu autora, a w znacznej części jego doskonałej humorystyki, wzbudzają one zainteresowanie egzotycznością: Ameryka sprzed lat 70 lub dawniejsze, nie mniej od nas odległe stosunki najciemniejszych zakamarków wsi polskiej.

Nie jako malarz współczesnej sobie a bliskiej, podległej sprawdzeniu w świeżej zbiorowej pamięci, rzeczywistości polskiej wszedł Sienkiewicz i utrzymuje się w liczbie trzech największych powieściopisarzy swej epoki. Ale też rzeczywistość, której jest malarzem w swych arcydziełach, nie stała się przedmiotem innego wejścia, nie zmieniła się w naszych oczach od jego czasów: była dla nas — rzeczywistością historyczną; poprawki naukowe nie zmieniły nic istotnego w jej obrazie, bo jeśli nawet dotyczyły najważniejszych wypadków czy osób, nie zmieniły całości obrazu życia, stylu epoki. Perspektywa historyczna, którą posługiwał się Sienkiewicz, jest wystarczająca i na nasze potrzeby. Tożsamość odtwarzanej rzeczywistości w naszym i jego odczuciu jest jednym z momentów zapewniających niezmienną naszego sądu o twórcy obrazu.

I to jakiego obrazu! Barwy jego nie spowiały do dziś dnia, kontury uderzają harmonią „kafograficzną“ nieco, płynną linią i trafnością ogólnikowych nieco, nie uwzględniających subtelności, nie wchodzących zbyt w szczegóły, ale wiernych z grubszą zarzaw. Dar spostrzegawczy autora, jego wrażliwość na zewnętrzną, zmysłową stronę zjawisk, harmonizująca ze zmysłowym odczuwaniem życia, pozbawione są może właściwości odkrywania nieznanego ogółowi, niedostrzegalnych przy powierzchownej obserwacji przeżyć, a więc i siły niezwykła tego, co każdy z nas ma przed oczyma. Właściwość ta nie pozwoliła Sienkiewiczowi na cenne osiągnięcia w powieści współczesnej, psychologicznej, ale była wyborem narzędziem przy wtórnym zastosowaniu, przy budowie konstrukcji mających na celu efekt komiczny (Sienkiewicz jest jednym z najlepszych w nas, a nawet w skali europejskiej, humorystów; humor — substancja tak wietrzejąca, doskonała wytrzymała u niego próba lat), lub rekonstrukcję przez analogię obrazu życia środowisk odległych od nas w czasie lub w przestrzeni. Egzotycznych w najszerszym sensie słowa lub historycznych. Właśnie: zgodność osiągnięć daru spostrzegawczego Sienkiewicza z zapasem obserwacji dostępnych przeciętnemu czytelnikowi potwierdza w świadomości czytelnika prawdę obrazu zawsze skończonego, pełnego, efektownego i plastycznego, nawet gdy przedstawiona rzeczywistość wykracza poza ramy prawdopodobieństwa w miarach życia codziennego, dostępnego potocznej obserwacji: nikt z nas np. nie zetknął się z silaciami takimi jak Longinus czy Ursus, ale i sama siła fizyczna jest czymś tak elementarnie znanym, i jej objawy u Sienkiewicza są podane w otoczeniu tak powszechnie obserwowanych a plastycznie i zwięźle podanych szczegółów, w tak realistycznym przedstawieniu, że nie podejrzewamy przesady, choć jesteśmy uderzeni niezwykłością siły, łamiącej kręgi pałacowe potężnego przeciwnika ludzkiego czy zwierzęcego.

Biorąc „zużyty temat“ jak w „Quo vadis“ (co już samo odstraszało od tej powieści subtelniejszych znawców literatury, takich jak krytyk angielski Edmund Gosse), Sienkiewicz rozwija go w kierunku, do którego się przyzwyczaił ogół, zadowolając zachowawczy jego instynkt, potrzebe wychodzenia od tradycyjnej „formuły“, ale i olśniewając zarazem niewiedziącym dotąd mistrzostwem wykonania, dając artystyczne wcielenie idei właściwych ogółowi, banalnych, ale w syntezie zadziwiająco jasnej i przekonującej. Ta sama zdolność do syntezy przejawia się w charakterologii Sienkiewicza, obcej pogłębieniu ale przeważnie trafnej i zaludniającej jego stronie mnóstwem pierwszo- i dalszoplanowych figur, najchętniej pierwotnych i niezłożonych, ale poruszających się „jak żywe“; w opisach przyrody, obrazach scen zbiorowych zadziwiających wspaniałością ujmowanych zjawisk, przekraczających nasze doświadczenie, ale odwołujących się doń w swych składnikach, zbudowanych jakby z materiału naszej potocznej obserwacji, więc realistycznych, sprawujących wrażenie prawdy. A w dodatku nęci nas nie sama tylko ich prawdziwość w połączeniu z efektowną barwnością: żeby przeciwdziałać naj-

lejszej nawet skłonności zwykłego o czytelnika romansów „opuszczania opisów“, Sienkiewicz umie je naniżyć na nie intrygującej, choć dość grubej i odpowiadającej tradycyjnemu schematowi fabuły, i to w ten sposób, jak zauważył już i Matuszewski pisząc o „Quo vadis“, że w każdym opisie czy obrazie jest wplecione jakieś ogniwo akcji powieściowej, jakaś dramatyczna sytuacja, która rozwija się równoległe do rozwijania się obrazu.

Utwierdzając w niniejszej rewizji niewyblakłe walory mistrzostwa Sienkiewicza jako powieściopisarza, jego stanowiska między protagonistami realizmu, choć nieco odmiennego od najbardziej typowej postaci realizmu, zwrócić jednak uwagę na niektóre strony jego twórczości, w których realizm jest niedostateczny; zastępuje go z wielkim powodzeniem w rozentuzumnowanym czytelnika brawura, z jaką reprodukowany jest szablone literackie. Krytyczniejszego oka zupełnie jednak ona nie zadowala. Przykładem mógłby służyć punkt nadający się do rozwinięcia w szerszej rozprawce: Sienkiewicz jako batalista.

Pod tym względem jego sława jest równie wielka jak niezasażona, przynajmniej z punktu widzenia realizmu.

Te tak mnogie i obszerne, pełne jaskrawych barw sceny szafu bitewnego, od których dech nam zapierało w dzieciństwie, mają mniej jeszcze wspólnego z rzeczywistością historyczną, niż u Matejki przepyszna tkanina wzorzystych sukien i zbroi, napiętych mięśni i wyrazistych twarzy z rzeczywistym obrazem bitwy grunwaldzkiej. Może brak osobistego doświadczenia wojennego (choć i Zeromski nie posiadał go więcej, a pisał o wojnie z taką prawdą!) skłonił Sienkiewicza do poddania się tradycji literackiej, z „Iliady“, poprzez „Goffreda“ Piotra Kochanowskiego, przemężonej i w epice polskiej. Tradycja ta w „Trylogii“ uległa zresztą zupełnie odmiennej recepcji, pozbawionej zamierzeń stylizatorsko-trawestacyjnych cechujących ją w „Panu Tadeuszu“ (w najslabszym bezwarunkowo ustępie nieśmiertelnego poematu). W ramach powieści historycznej prozą, ujętej realistycznie, tym mniej stosowne są te pojedynki homeryckie, w których wielkość wojownika mierzy się jego sprawnością w fechtunku (jeden z niewielu uprawianych z czasów Sienkiewicza sportów, a raczej ważna umiejętność praktyczna, wobec rozkwitu pojedynków, zwłaszcza na Zachodzie). Jeszcze na szczęście książę Jeremi nie jest wniesiony pod tym względem ponad Wołodyjowskiego i nie bierze sam osobście udziału w mełie bitwy kawalerskiej. Bitwy zresztą, jeśli wie o niej tyle co my, czytelnicy, nie ogarnia w całości ani Wiśniowiecki ani jego panegrysta.

Tak samo jak nie orientuje się w różnicy między fechtunkiem a umiejętnością władania bronią, potrzebną kawalerzyscie, tak też obcy pozostaje Sienkiewicz temu, co się nazywa la réalité de la guerre, zarówno w szczegółach jak i w ogólnym obrazie. Że idzie za tradycją przesadnych liczebności armii ówczesnych, dopiero w ostatnich czasach redukowanych w umiejętnie analizie historyków, że operuje setkami tysięcy — nie można się gorszyć. Ale że i mniejsze oddziały wyprowadza przed nasze oczy nie ogarniając ich sam wobraźnią — to już gorzej. Podjadą po kilkaset koni (więc praktycznie biorąc — normalnej wielkości pułku jazdy w czasach wojny) wyprawiane są najczęściej z niewiedzą jakim zadaniem konkretnym; a już Zagłoba na czele swej setki semenów zachowuje się, jakby miał za sobą najwyższą dwóch jeźdźców Rozciąłość oddziały w przestrzeni, długość kolumny marszowej, zaprowiantowanie i zafurazowanie, ubezpieczenie, biwakowanie wojska, jego nieuchronne straty marszowe, zwłaszcza w konicach — wszystko to nie obchodzi Sienkiewicza. Wiśniowiecki wciąż ma swoje sześć tysięcy, z którymi wyszedł z Lublina, tak zawsze gotowe do działania, jak ołowiani żołnierze wyjęci z pudełka; bohaterowie jego mają zawsze na podporządku zapasowe konie, nie tylko na swoje potrzeby ale i na podarunki wraz z rzedami i garncem wystającego miodu. Złożonych uczuć w przeżyciach wojennych, np. lęku, opanowywanego wysiłkiem ambivalentnej woli, nie będziemy się oczywiście doszukiwać w tych bohaterkich duszach z monolitu: chyba coś nie coś z tego ujawnia się w Zagłobie, w oświetleniu komicznym. Porównanie z batalistyką pisarzy, którzy sami poznali rzeczywistość wojny, z Tolstojem np., a choćby jeśli idzie o realia — z naszym Jeżem-Milkowskim, byłoby znęcaniem się nad Sienkiewiczem\*).

Nie naruszona za to w oczach naszych pozostała obywatelska zastawa Sienkiewicza, społeczne znaczenie jego działalności, dzięki któremu zajmował on w ciągu kilkunastu ostatnich lat życia stanowisko nieoficjalnego, nie potwierdzonego żadnym głosowaniem, niemniej jednak rzeczywistego reprezentanta narodu wobec całego cywilizowanego świata. I w dodatku — rzecz na pozór paradoksalna — w perspektywie lat znaczenie spo-

\*) Już po oddaniu niniejszego do druku zapoznaliśmy się z artykułem Andrzeja Stawara („Kuznica“ z 5. VIII. 46), który w bardzo podobny sposób charakteryzuje batalistykę Sienkiewicza, potwierdzając słuszność moich obserwacji. To samo odnosi się do artykułów Z. Szwejkowskiego w „Złociu Literackim“ nr 12 oraz K. Wyki w „Twórczości“ nr 6 podnoszących baśńowość „Trylogii“.

łeczne dzieła tego (w drugiej fazie działalności pisarskiej) rzecznika ideologii zachowawczej, klerykalno-kapitałistycznej prawicy społeczeństwa polskiego, właśnie z punktu widzenia ewolucji demokratycznej naszego społeczeństwa wydaje się donioślejsze, niż rola dzieła Orzeszkowej i Prusa, uważanych nie bez racji za orędowników demokracji I nie dlatego, żeby, szlachcic z urodzenia na równi z nimi, miał on być „pokutującym szlachcicem”: wprost przeciwnie! Taki Żeromski, w którym widomie pulsowały soki gruntu, z którego wyrósł, tej macierzystej przeszłości szlacheckiej, nigdy nie umiał przeciąć łączącej go z nią pępowiny, przez całe życie był „pokutującym szlachcicem”, przym i nieodrodnym „synem koronnym”, uginającym się pod ciężarem dawnych grzechów i odziedziczonego obowiązku, gorąco wyrzucającym winy w bolesnych admonicjach „do braci starszych”, z niewypowiedzianą radością notującą każdą oznakę poprawy w swych fikcyjnych bohaterach i w postaciach z rzeczywistości („Drożyzna

i Zamojszczyzna”). Sienkiewicz natomiast to raczej przykład bezbolesnego przekształcenia się potomków szlachty w burżuazję polską, dla której klejnotem pozostaje przedmiotem ostentacji, sygnetem na palcu.

Ale nie w jego osobistym upozowaniu i nawet nie w ideologii leży istota społecznego znaczenia jego dzieła, ale w artystycznej sugestii tego dzieła i w jej zasięgu. „Trylogia” „trafiła pod strzechy”, wiadomo to od dawna a potwierdzenie znajdzie każdy w „Pamiętnikach chłopów” i w różnych wspomnieniach osobistego kontaktu ze wsią: „piękne poczytanie” mawiał mój towarzysz bojowy, kowal z zapadłego podlaskiego powiatu. O Sienkiewiczu rozmawiałem z chłopami z odległego ilukszańskiego powiatu. I nie tylko trafiła pod strzechy — pierwsze dzieło ze szczytów literatury polskiej, któremu przypadł zaszczyt marzony przez Mickiewicza — ale dokonała jednego z największych przewrotów w dziejach narodu, którego świadkiem może być każdy, kto sięga pamięcią pół wieku wstecz.

W jaką rozpacz wprawiały mnie jako dziecko, w rozmowach z „kmiotkami” specyficzne znaczenia dwóch słów: „Polaki” (gdy mowa była o 63 r.) i „nasze” (gdy mowa o wojsku). Dziś, cokolwiek by się myślało o naszej wsi to jedno pewne — czasy i lata okupacji świadczą o tym wymownie — ludzie na wsi są Polakami, wiedzą, które wojsko jest nasze. Sprawiło to nie pouczające doświadczenie przeżytych, w czasie ostatnich lat trzydziestu, katastrof dziejowych: ten stan rzeczy dawał się zaobserwować już w pierwszym roku poprzedniej wojny europejskiej; zrodziła go „Trylogia”, „piękne poczytanie” ludu polskiego. Przyjęcie tych książek było aktem przejęcia dziedzictwa dawnej Polski przez „warstwy niehistoryczne”, „nie związane żadną tradycją osobistą, rodową, z tymi, którzy kształtowali dawne dzieje” Sienkiewicz, mówiąc dalej słowami prof. Kleina, kazał się im poczuć synami bojowników Zbaraża i Grunwaldu, spadkobiercami wielkiej Rzeczypospolitej. Tworzył w duszach ogółu solidarność nowej i dawnej Polski.

A prócz tego, dla całego narodu, lektura Sienkiewicza była szkołą energii i patriotyzmu, przygotowaniem do wysiłków zbiorowych o historycznym znaczeniu, których świadkiem jest ostatnie czterdziestolecie. I znowu — rzecz paradoksalna: stawało się to niekiedy wbrew, czy ponad intencję nauczyciela, który zarazem potępił pierwszy wybuch sformowanej przez się energii („Wiry”), nie rozumiały jego istoty. A wystarczy przejrzeć choćby listę pseudonimów wojskowych, żeby osądzić, jak bardzo wpływ jego zaciążył na psychice zbiorowej, która przeniesiemy się z początków czterdziestolecia na jego schyłek) z pogardą odwróciła się od zagranicznych rozsądnych wzorów Hachy czy Quislinga, wybierając drogę „szarów heroicznych”, „degl heroici furori”. Oto, z okazji Sienkiewicza zacytowany, wcale pewnie nie spodziewany przezeń towarzysz, Giordano Bruno, męczennik wolnej do szalu myśli! Ale „nikt nie zna dróg do potomności” i w jej pamięci nie wybiera współlokatorów, gdyż „nie gości w tych, które wybrał sam, pokojach”.

K. W. Zawodziński

STANISŁAW A. MAJEWSKI

## Ewolucja angielskiej opinii publicznej wobec Niemiec

### REFLEKSJE NA CZASIE

Po pierwszej wojnie światowej zaszła, jak wiadomo, bardzo prędko gruntowna zmiana w nastrojach Anglików wobec Niemiec i traktatu wersalskiego zmiana, która nas tak niepokoiła i irytowała. Zaskoczyła ona sytuację międzynarodowej Polski, irytacja więc nasza była zupełnie uzasadniona. Z pewnych niepokojących oznak można wnioskować, że i obecnie, po drugiej wojnie światowej, opinia publiczna w Anglii wykazuje podobne tendencje. Jest więc rzeczą interesującą wejrzeć i wmyśleć się w tok wywodów i faktów zawartych w książce R. B. Mc Calluma „Opinia publiczna i ostatni traktat pokojowy” („Public Opinion and the Last Peace”, London, 1945).

### „TWARDY POKÓJ”

W chwili zakończenia pierwszej wojny światowej rządy w Anglii sprawowała koalicja złożona z torysów i części liberałów. Większość liberałów z Asquitem na czele i Partia Pracy były w opozycji. Jakkolwiek premierem był Lloyd George z partii liberalnej, rząd był faktycznie konserwatywny a duszą jego był Bonar Law przywódca torysów. Niemal nazajutrz po zawieszeniu broni rozpisal on wybory do parlamentu, które odbyły się 4 grudnia 1918 r. i dały rządzącej koalicji ogromną większość. Wybory te nazwał rząd konsultacją w sprawie traktatu pokojowego, który miał być zawarty w najbliższych miesiącach. Odbywały się więc pod znakiem zbliżającej się konferencji pokojowej. Rządząca koalicja, szczególnie zaś torysi, obiecywali „pokój twardy”, przykładne ukaranie zbrodniarzy wojennych i nałożenie na Niemcy dużych odszkodowań. Wynik wyborów pokazał, że ogromna większość społeczeństwa angielskiego takiego właśnie pokoju się domagała. Nastroje wśród Anglików były wybitnie antyniemieckie.

Licząc się z tymi nastrojami, delegacja angielska na konferencji wersalskiej z Lloydem Georgem na czele zgodziła się na wprowadzenie artykułów 227 i 231, które razem ze wstępem stanowią uzasadnienie wszystkich „twardych” postanowień traktatu wersalskiego. Artykuł 227 brzmi: „Sprzymierzone i Stowarzyszone Mocarstwa publicznie oskarżają Wilhelma II z Hohenzollernów, byłego cesarza niemieckiego, o najwyższą obrzę moralności międzynarodowej i świętości traktatów”. Artykuł 231 mówi: „Sprzymierzone i Stowarzyszone Rządy potwierdzają, a Niemcy uznają, odpowiedzialność Niemiec za poczynienie strat i szkód, których doznały Sprzymierzone i Stowarzyszone Rządy i ich Narody wskutek wojny, narzuconej im przez agresję Niemiec i ich sprzymierzeńców”. Na tych dwóch artykułach opierają się postanowienia traktatu mówiące o ukaraniu przestępców wojennych, odszkodowaniach, rozbrojeniu i kontroli nad Niemcami. Natomiast humanitarne postanowienia terytorialne powoływały się na zasadę samostanowienia narodów w myśl 14 punktów Wilsona.

Jak wiadomo, tylko klauzule traktatów o granicach i zmianach terytorialnych weszły w życie. Postanowienia „twarde” rozeszły się po kościach. Innymi słowy, pierwotna intencja twórców traktatu wersalskiego uległa zupełnie wypaczeniu. Mogło to się stać tylko wskutek radykalnej zmiany nastrojów angielskich w stosunku do Niemców.

Jakież były przyczyny tej szybkiej i radykalnej zmiany w angielskiej opinii publicznej?

### ZRÓDŁA GOSPODARZE PACYFIZMU

Propaganda niemiecka odegrała tu niewątpliwie pewną rolę, ale nie należy jej przeceniać, jak to się często czyni. Ówczesna propaganda niemiecka nie rozporządzała tak potężnymi środkami, jak te, które zmobilizował po przewrocie hitlerowskim mistrz demagogii — Goebbels. Przyczyny były znacznie głębsze. Najważniejszą było szybkie i stosunkowo duże zradyzalizowanie się społeczeństwa angielskiego w latach powojennych, wywołane przez nieustanne pogarszanie się sytuacji gospodarczej kraju. Począwszy od 1922 r. liczba bezrobotnych przez wiele lat nie spadała ani razu poniżej miliona, a w lipcu 1925 r. wynosiła ona nawet 1 300 000. Według danych Trade-Unionów ilość bezrobotnych przed wojną wynosiła przeciętnie mniej niż 5% ogółu zatrudnionych; podczas kryzysów dochodziła ona do 10%. Tymczasem w styczniu 1921 r. odsetek bezrobotnych wynosił 23,1%, a przez całe pierwsze dziesięciolecie powojenne nigdy nie spadł poniżej 10%. Innymi słowy, Anglia weszła po pierwszej wojnie światowej w stan chronicznego, jeżeli tak można powiedzieć, kryzysu gospodarczego.

W r. 1920 wprowadzono w Anglii zgodnie z ustawą Unemployment Insurance Act — obowiązek ubezpieczenia od bezrobocia. Zasiłki wypłacane na tej podstawie bezrobotnym były dość nędzne. Tylko krótki czas trwała taka sytuacja, kiedy bezrobotni Anglicy mogli za swoje zasiłki nieźle wyżyć w pobliskiej Francji, mianowicie po r. 1925, gdy funt angielski wrócił do parytetu przedwojennego przy jednoczesnej dewaluacji franka francuskiego. Oczywiście tylko nielicznym bezrobotnym stosunki rodzinne pozwalały na korzystanie z walutowych dobrodziejstw turystyki. Wówczas to zrodziła się legenda o rentierskiej wysokości zasiłków otrzymywanych przez angielskich bezrobotnych. W rzeczywistości bezrobocie było w pierwszej dekadzie lat powojennych prawdziwą plagą klasy robotniczej i w pewnym stopniu również — inteligencji pracującej.

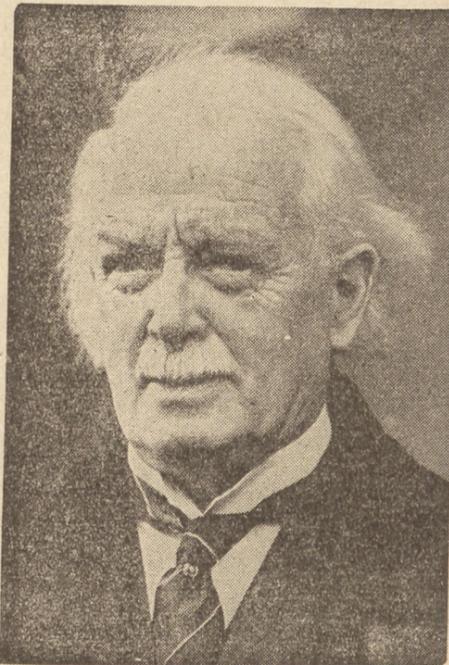
Bezrobocie w Anglii miało zupełnie inny charakter niż w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. W krajach tych wynikało ono z modernizacji sprzętu i racjonalizacji metod pracy, tak, że produkcja mimo bezrobocia utrzymywała się na dawnej wysokości, a często nawet wzrastała. W Anglii natomiast było zupełnie inaczej: podstawowe gałęzie przemysłu nie odmłodziwszy się straciły zdolność konkurencyjną i były wskutek tego zmuszone do ograniczenia produkcji. Wydobywcę węgla w r. 1913 wynosiło — 292 mil. ton, a w r. 1925 — tylko 247 mil. ton. Szczególnie wielki był spadek produkcji surówki, której wysokość uważana jest dzisiaj za miernik ogólnego potencjału gospodarczego; z 10,4 miliona ton w r. 1913 spadła ona do 6,3 miliona ton — w r. 1926, tj. o przeszło 40%. Odpowiednio do tego pogorszył się również bilans handlu zewnętrznego; gdy import w r. 1925 wzrósł o 66% w porównaniu z latami przedwojennymi, eksport podniósł się tylko o 42%. Deficyt handlowy w tym roku był o 160% wyższy, aniżeli w r. 1913. Katastrofalnie podupadł eksport tkanin bawełnianych; gdy w r. 1913 wynosił on 586 tys. ton, to w r. 1925 dochodził tylko do 381 tys. ton. Zwycięskim konkurentem w tej dziedzinie była Japonia. Tymczasem ogólna sytuacja Anglii była i jest tego rodzaju, że — jak to niedawno powiedział Churchill — Anglia musi eksportować, aby mogła żyć...

Tak więc w wyniku pierwszej wojny światowej ujawniły się groźne symptomy starzenia się Anglii jako mocarstwa przemysłowego i handlowego. Co prawda proces starzenia się rozpoczął się znacznie wcześniej, jeszcze na początku XX wieku, gdy młodszy, a więc nowocześniejszy przemysł niemiecki z ogromnym powodzeniem raz po raz nokautował pierwszego podówczas producenta i kupca na świecie. Wiadomo przecież, że konkurencja gospodarcza niemiecko-angielska była istotną przyczyną angielskiej polityki okrażania Niemiec zainicjowanej przez Edwarda VII. Jednakże pierwsza wojna światowa gwałtownie przyspieszyła proces gospodarczego upadania Anglii.

Cóż więc dziwnego, że sfery pracujące społeczeństwa angielskiego, politycznie bardzo wyrobionego i od pokoleń przyzwyczajonego do myślenia kategoriami gospodarczymi, bardzo prędko uświadomiły sobie, że druga wojna światowa pogorszyłaby katastrofalnie sytuację ekonomiczną kraju i egzystencję materialną szerokich mas. Myśl o konieczności utrzymania pokoju stała się w świadomości społeczeństwa angielskiego naczelnym założeniem. Szary człowiek — the man in the street — stał się pacyfistą; często był to nawet pacyfizm za wszelką cenę, graniczący z defetyzmem. Świadomość społeczeństwa angielskiego przeszła ewolucję według klasycznego schematu dialektycznego: podczas wojny światowej nastawiła się ona na bezwzględna ofiarą walkę o egzystencję, bezpośrednio po wojnie — na walkę o pokój za wszelką cenę. Ale walka o pokój podjęta w imię egzystencji przybierała formę zagrażającą tej egzystencji.

### RADYKALIZOWANIE SIĘ MAS

Otóż podczas pierwszej wojny światowej sprawowała rządząca koalicja, w której decydujący głos mieli torysi. Traktat wersalski był dziełem tej koalicji. Torysi w Anglii są



Lloyd George

tradycyjnymi zwolennikami imperializmu, a podczas wojny siłą rzeczy wodzili wśród nich rej gloryfikatorzy wojującego jingoizmu, przywódcy najbardziej prawicowego odłamu. Im bardziej zagierała się w pamięci brutalność Niemców podczas wojny, tym silniej zwracano uwagę na cynizm jednych torysów, lub na hipokryzję — drugich. Już w r. 1920 na kongresie studentów w Glasgow Miss Maud Royden podała ostrej krytykę postanowienia traktatu wersalskiego, które przekształciły Irak w mandat kategorii A, a Armenię pozostawiły nadal przy Turcji, nie bacząc na dokonane tam przez Turków rzezie. „W Iraku — ironizowała ona — jest nafta, a w Armenii są tylko Armeńcy!”. Wskazywano tam również na kolonialną gospodarkę Portugalii i Belgii, nie mniej skandaliczną od przedwojennej niemieckiej. Wprowadzenie do traktatu pokojowego klauzul orzekających, że Niemcy są winne wywołania wojny, uznano za typowo torysowską hipokryzję. Jakież bowiem inny charakter może mieć uzasadnienie

etyczne sformułowane przez starych cyników?

Wybory do parlamentu w r. 1922 i 1924 odzwierciedliły tę zmianę nastrojów wśród szerokich mas społeczeństwa angielskiego.

### Wyniki wyborów

	1918	r. 1922	r. 1924
konserwatyści	34*)	347	258
labourzyści	37	159	191
liberałowie	26**)	119	158

W r. 1924 doszli po raz pierwszy do władzy labourzyści, co prawda przy poparciu liberałów; już samo to poparcie było bardzo symptomatyczne. Objęcie rządów przez labourystów miało w Anglii posmak sensacji politycznej; torysi głośno wyrażali pogląd, że przywódcy labourystów nie będą umieli rządzić. W r. 1925 wybuchł słynny strajk węglowy zorganizowany pod hasłem nacjonalizacji kopalń węglowych i podniesienia ich wydajności przez modernizację sprzętu i racjonalizację metod pracy. W r. 1926 zorganizowano po raz pierwszy w Anglii strajk powszechny, który trwał od 3 do 12 maja. Wszystko wskazywało na to, że angielskie masy robotnicze przechodzą od słownej krytyki do rewolucyjnej akcji. Na radykalizujące się drobne mieszczaństwo padł „czerwonony” strach. Opamiętało się ono i przeszło ze skruczą do obozu torysów, stanowiąc odąd aż do r. 1945 jego masowe oparcie społeczne, (z wyjątkiem kryzysowego roku 1929, w którym raz jeszcze sprzeniewierzyło się torysom. Oddając znaczną część swych głosów labourystom umożliwiło im objęcie władzy; drugi rząd robotniczy utrzymał się jednak tylko do r. 1932).

Główną więc przyczyną zmiany nastrojów angielskich wobec traktatu wersalskiego i wobec Niemców należy widzieć w zradyzalizowaniu się społeczeństwa pod wpływem ciężkiej sytuacji gospodarczej kraju w latach powojennych. Pierwsze ataki na traktat wersalski wyszły z kręgów liberalnych. Wybitny ekonomista J. M. Keynes napisał już w r. 1919 książkę pt. „The Economic Consequences of the Peace”, która rychło nabrała dużego rozgłosu i doczekała się wielu wydań i przekładów na obce języki. W r. 1922 tenże autor wydał nową książkę pt. „A Revision of the Treaty”. W obu tych pracach krytykował on ostro traktat wersalski i wynikłą zeń sytuację międzynarodową.

### LABOURZYŚCI WOBEC NIEMIEC

Stanowisko liberałów podzielał labourzyści. Ale rosnąca wśród nich niechęć do traktatu wersalskiego miała inne podłoże. Górna warstwa robotników angielskich pamiętała o wielkiej roli, jaką odgrywała przed wojną niemiecka socjalna demokracja w międzynarodowym ruchu robotniczym. Labour Party uważała się w pewnym sensie za jej duchowe dziecko. Engels i Marx pisali wprawdzie swoje prace w Anglii, korzystając z bogactwa jej kultury i badając tam skomplikowany mechanizm gospodarki kapitalistycznej, ale z pochodzenia byli Niemcami. Otóż w Niemczech po wojnie rządziła właśnie socjalna demokracja. Pierwszym prezydentem republiki wejmarskiej był socjalny demokrat Ebert, syn siodlarza. Robotnikom angielskim mimo woli nasuwało się porównanie z Lloydem Georgem, kuzynem i wychowankiem szewca z Criccieth. Porównanie to wypadało na niekorzyść ich rodaka, „zepsutego” proletariusza, który pokumał się z torysami i ich głosem w izbie zawdzięczał swój był polityczny. Słumieniec puczu Kappa, monarchisty, a później w wyniku nieudanego zamachu politycznego w Monachium, osadzenie w więzieniu Hitlera za-

\*) Konserwatyści + większość liberałów wchodzących w skład koalicji.  
\*\*) Liberałowie niezależni, nie wchodzący w skład koalicji.

imponowało labourzystom — jako objaw siły niemieckiej socjalnej demokracji.

Pod wpływem Rewolucji Październikowej zaczęły w angielskiej Labour Party dochodzić do głosu tendencje internacjonalistyczne i nadzieję na rychłą i radykalną, choć pokojowo-parlamentarną przebudowę ustroju społecznego. Wyznawcy tych radykalnych poglądów pokładali wielkie nadzieje w niemieckiej socjalnej demokracji, najliczniejszej i najbardziej zdyscyplinowanej partii socjalistycznej na świecie. Agresję Niemiec, zwałowienie neutralności belgijskiej, akty niemieckiej brutalności w koloniach i podczas wojny przypisywano wyłącznie pruskim junkrom, którzy faktycznie sprawowali władzę w Niemczech przedwojennych, ponieważ dawny Reichstag, a jeszcze bardziej sejm pruski, były tylko cieniem reprezentacji narodowej. Podczas pierwszej wojny światowej wyszły na jaw skandaliczne machinacje fabrykantów i dostawców broni, związanych businesssem lub koligacjami z klasą posiadającą, a szczególnie ze sferami wojskowymi. Wśród angielskiej partii robotniczej coraz bardziej umacniało się przekonanie, że każda wojna jest w istocie swą tylko brutalną formą walki konkurencyjnej o monopolistyczne władanie rynkami zbytu i źródełami surowców.

Z tak wysokiego punktu widzenia malali w oczach labourzystów wszystkie kontrowersje traktatowe, a kwastie sporne spadły do rzędu nikłych, przypadkowych okoliczności nie zasługujących na to, aby im poświęcać dużo uwagi. Toteż wielu labourzystów ogłaszało swoje desintéressement, bagatelizując te okoliczności lub zgola je przemilczając. Labourzyści powoływali się zresztą na to, że traktat pokojowy nie był ich dziełem i że nawet podczas wojny przeciwwstawiali się będącej u steru koalicji. Jeżeli szło o kwestię utrwalenia pokoju, umiarkowani labourzyści liczyli wyłącznie na międzynarodową solidarność proletariatu; radykalni zaś ich odłam wyznawali, jak to określa Mc Callum, zasadę homeopatii politycznej: zaostrenie walk klasowych w każdym kraju będzie najskuteczniejszym środkiem przeciw wybuchowi wojen kapitalistycznych.

Z tych samych powodów labourzyści odwołali się z ogromną rezerwą do tzw. państw sukcesyjnych, które powstały na podstawie powojennych traktatów pokojowych. Jedni lekceważyli je, bo były małe, inni nie ufali im — jako krajom o ludności przeważnie chłopskiej i drobnomieszczańskiej. W ogólnym bilansie sił zmierzających do przebudowy społecznej, rezerwy rewolucyjne mniejszych państw mogły odegrać tylko rolę drugorzędą — nawet w Czechosłowacji — mimo jej uprzemysłowienia, nawet w Rumunii — mimo złóż ropy. Decydującą rolę przypisywali labourzyści tak potężnym skupieniom proletariatu, jak Glasgow, Hamburg, Berlin, Marsylia i Mediolan. Z przywiązaniem zaś chłopa do własności prywatnej trudniej sobie dać radę, aniżeli z cynicznym wyzyskiem uprawianym przez wielkich kapitalistów. Według labourzystów — chłop, nawet wówczas gdy zwalcza obszarników, nie czynią tego w imię interesów społeczeństwa, ale z pobudek egoistycznych, mianowicie z chęci powiększenia swego stanu posiadania.

Wobec takich poglądów zrozumiała jest niechęć labourzystów do traktatu wersalskiego i powojennej międzynarodowej sytuacji, jaka powstała w pierwszych latach po zawarciu pokoju.

#### TORYSI A TRAKTAT WERSALSKI

Jaki był stosunek torysów do tych spraw? Przecież ta partia przede wszystkim sobie przypisywała zasługę doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca i wygrania pokoju. Wszak traktat pokojowy był głównie ich dziełem. Zdawać by się mogło, że ci obrońcy okopów św. Trójcy powinni byli pozostać konsekwentnymi i gorliwymi strażnikami ducha i litery traktatu wersalskiego. Ale i torysi przeszli bardzo ciekawą ewolucję.

Co prawda do dwóch fundamentalnych spraw traktatu wersalskiego odnosili się od samego początku bez entuzjazmu. Ideę Ligi Narodów określali pogardliwie jako wilsońską, co miało oznaczać, że jest ona profesorska i oderwana od życia, słowem taka, jaka zrodzić się mogła tylko w głowie polityka-amatora. Zasadę zaś samostanowienia narodów uważali nawet za niebezpieczną ze względu na Indie, perłę korony angielskiej. Toczyli przecież heroiczne boje przeciwko home rule w Irlandii. W r. 1906 byli przeciwko nadaniu autonomii Burom, a jeszcze wcześniej, bo w r. 1839 sprzeciwiali się równie stanowczo przyznaniu samodzielności Kanadzie. Ale Liga Narodów została ustanowiona, klauzule zaś terytorialne opierały się z grubsza na zasadzie samostanowienia narodów i były jedynymi, które natychmiast zostały wprowadzone w życie.

Kontrowersje traktatowe toczyły się przeciw głównie około tzw. „twardych“ klauzul, których heroldami byli właśnie torysi. Oni to przecież przystąpili do wyborów w r. 1918 z hasłem *vae victis!* Wszak z kół torysowskich wyszły głośne slogany wyborcze: „Hang the Kaiser!“, „Make Germany pay!“ („Powieście Kajzera!“... „Zmuscie Niemcy do płacenia!“) i dzięki tym hasłom rządząca koalicja, tzn. właściwie partia konserwatywna (bo

skozalizowanych liberałów było stosunkowo niewiele), zdobyła ogromną większość w parlamencie. Nie było to bynajmniej demagogiczne eksploatowanie przez torysów antyniemieckich nastrojów społeczeństwa w tym czasie.

„Nie wierzę — pisze Mc Callum — aby jakaś partia polityczna kiedykolwiek mówiła szczerzej i spontaniczniej niż torysi w r. 1919. Te slogany wyborcze zrodziły się w ich umysłach całkiem naturalnie“. Gdy w r. 1919 ukazała się wspomniana książka Keynesa o konsekwencjach traktatu pokojowego, spotkała się z ostrą odprawą na łamach pism torysowskich. Ale już w r. 1923, gdy pod rządami Polcarégo, straciwszy cierpliwość wobec Niemiec, Frantja obradziła Zagłębie Ruhry, większość torysów z Bonar Law na czele odmówiła współpracy, choć „Daily Mail“ i „Morning Post“ stanowczo poparły akcję francuską. Wkrótce jednak znikły wśród torysów wszelkie rozdzwięki na tym tle. Przeszli mówić o potrzebie pociążnięcia do odpowiedzialności Kajzera i innych przestępców wojennych i prędko zrezygnowali z odszkodowań.

Różnorakie złożyły się na to przyczyny. Najważniejszą — był nawrót torysów do tradycyjnej polityki brytyjskiej: „równowagi sił w Europie“. Niemcom przypadła tym razem nie tylko rola kontrpartniera Francji, najsilniejszego wówczas mocarstwa kontynentu europejskiego, ale i nie mniej ważna funkcja żandarma Europy czuwającego przy kordonie sanitarnym, który miał ją chronić przed „czerwoną zarazą“ ze Wschodu. Przejęci tą podwójną rolą Niemiec, torysi coraz częściej zapominali, że niektóre z tzw. państw sukcesyjnych należały podczas wojny do „narodów sprzymierzonych i stowarzyszonych“. Nie były to w ich pojęciu państwa first class. Torysi mają przed mocarstwowością całkiem szczególny respekt. Na kolejach angielskich jest tylko klasa I i III, podobnie i myśli polityczna torysów uznaje tylko dwie klasy państw. Polska licząca przeszło 30 milionów

mieszkańców była w pojęciu torysów również państwem trzeciej klasy...“).

Inną wadą tych państw w oczach torysów był fakt, że były nowe. „Irytowała torysów nowa i... nieprawdopodobnie według nich wyglądająca mapa polityczna Europy. Uplynęło dobrych kilka lat, nim się nauczyli wymawiać jako tako nazwy Czechosłowacji i Jugosławii. Uważali, że pozmieniano dziwacznie nazwy miast — zamiast Pilsen — Plzen, zamiast Posen — Poznań, zamiast Pressburg — Bratislava. Historia i języki nowych państw były im zupełnie obce. Przed wojną jakoś wszystko było łatwiej...“ „Ilekrót w parlamencie była mowa o środkowej Europie, myśl torysów odruchowo nastawiała się na Wiedeń i Budapeszt!“. „Żaden szanujący się torys nie uważał za interesujące zwiedzenie Pragi, Warszawy, Belgradu i Bukaresztu, choć na ogół dużo podróżują. Bardzo prędko opanowała ich pogarda dla nowych państw i jednocześnie tęsknota za dawną monarchią habsburską“.

#### MENTALNOŚĆ TORYSÓW

Nowe stanowisko torysów było prawdziwą woltą polityczną. Czy nie powinni oni byli czuć się nieswojo w tej absurdalnej sytuacji? Czy nie powinni byli albo dopilnować zrealizowania traktatu wersalskiego i dotrzymać obietnic wyborczych, albo uznać, że popełnili błędy i przyznać się, że ich polityka wyborcza w r. 1919 była dzika i nierozsądna? Tak jednak sądzić może jedynie ten, kto nie zna mental-

\*) Angliki mieli bardzo metne pojęcia o Polsce. Na stronie 122 autor pisze: „Godna uwagi jest ino-ranacja całkiem dobrze wychowanych Anglików w sprawie ludności poszczególnych krajów europejskich. W noc sylwestrową 1923 speaker B.B.C. zaczął się kolejno ze stółkami Europy doszedł i do Warszawy. Zapowiadając radiostację warszawską, uczynił on nieprawdopodobnie bezzcelną i frywolną uwagę, że Polska jest małym krajem wydającym cym znaczną część swego dochodu narodowego na zbrojenia. Uwaga ta wywołała dyskusję wśród słuchaczy. Wtedy przeprowadziłem ankietę i zapyta-tem obecnych, ile wynosi ludność Polski. Większość odpowiedziała — że 4 miliony...“.

#### TADEUSZ RÓŻEWICZ

Z domu mojego:  
kamień na kamieniu  
kwiatek na łapcie  
płatki i gałązka  
próg który rozdziela puszkę i gruz  
na progu podkowa  
tego szczęścia nie przekroczyć  
teraz i zawsze

ściany tak otwarte  
jak strony świata

w jednej stronie jest wiatr  
który rozwiał dym i ojca

w drugiej stronie jest wiatr  
który rozwiał dym i matkę

w trzeciej stronie jest wiatr  
który rozwiał nawet imię brata

w czwartej stronie jest wiatr  
który przeminał

obracając się wkoło czulszy  
wskazują nieomylnie na.

#### Pożegnanie

Myślała  
że świat jest smutny  
dokoła  
że kwiaty są smutne i deszcz  
że smutek się zagnieżdził  
w szorstkiej wełnie  
pachnącej rezędą  
że smutne są głosy  
odjeżdżających  
że smutny jest  
wesół dorozkarcz  
który pali z bicia  
myślała  
niebo i ziemia  
smucą się nad miarę  
a  
to kręciły się tylko koła  
szybsze i dalsze.  
Szerokie bezbrzeżne.

#### Doskonała

Twoje gorące usta  
są jak gwiazda błękitna  
zimna i daleka  
oczy twoje  
oprawione w krajobraz  
czyste do dna i chłodne  
wiodą z sobą dialog  
niezmęczony doskonały

z dłoni która poraziła mnie  
obojętnością  
płatki karmisz i zwierzęta.

#### Wiatraczek

Wiatraczek z światła  
i szczebiotu  
kręcił się cały boży dzień.  
Ten dzień jest boży:  
utkany z słońca i mitości  
a złotym jabłkiem ziemi  
włada czuła dłoń.

Wiatraczek modry  
jak kokarda  
mieła słowa i śmiech  
jakby manną niebieskie kamienie  
uclerały dla ojca i matki  
na radości niepowzedni chleb.

Są gruszki złote na talerzu,  
Kwiaty i dwie dziewczyny młode

Na stole fotografia chłopca  
Jasny i szływny w czarnym kepi

Dziewczyny mają miękkie wargi  
Dziewczyny mają słodkie oczy

Przez pokój idzie biedna matka  
poprawia fotografię płecze

Gasną na stole złote słońca  
I marły owoc jej żywota.

ności torysowskiej. Dla niej niekonsekwencja nie jest ani ujmą, ani obelgą. Torysi kierują się w polityce intuicją, instynktami. Obchodzą ich tylko fakty, przy tym nigdy ich nie racjonalizują. Do rozumowania nie mają zaufania, bo prowadzi ono za daleko — do czynów niezgodnych ze zdrowym rozsądkiem...  
Przyznawali oni chętnie, że „twarde“ klauzule traktatu wersalskiego podkopywały im gniew, ale zaraz dodawali, że działały pod wpływem gniewu nie jest wcale błędem w polityce. Jeżeli działacie pod wpływem gniewu, macie duże szanse, że czyn wasz będzie celowy, albowiem natura i rzeczy są często mądrzejsze niż rozum. Zresztą, jeżeli czyn wasz okaże się w takim wypadku niecelowy, będą was tłumaczyć okoliczności łagodzące, ponieważ działaliście pod wpływem namiętności. Jeżeli natomiast chcecie być konsekwentni, to i gdy gniew przejdzie, musicie postępować tak, jak działaliście wówczas, gdyście się gniewali, a to jest nonsensem. Konsekwencja zmienia poszczególne czyny i konkretne fakty w zasady, dlatego niekonsekwencja jest mądrością, albo jeżeli wolicie, cnotą prawdziwego męża stanu. Cnotę tę odziedziczyli torysi po swoich przodkach i cnotę tej zawdzięcza Wielka Brytania swoją wielkość. Taka jest według Mc Calluma mentalność torysów.

Nie wypierali się oni więc wcale swej niekonsekwencji w stosunku do traktatu wersalskiego. Gdyby Angliki byli wzięli Kajzera do niewoli i pod wpływem gniewu go powiesili, wszystko byłoby w porządku. Ale Kajzer zdążył uciec do Holandii, która nie chciała go wydać. Można by wprowadzić dla konsekwencji zmusić do mocarstwo do ekstradycji. Ale czy byłoby to fair? Czy miałoby to sens, skoro gniew przeszedł? W kwestii odszkodowań, owszem, byli za tym, aby Niemcom zaprezentować odpowiedni weksel. Ale cóż? Dłużnik okazał się niewypłacalny. Poza tym ściąganie reparacji przypadałyby głównie Francji lub zostałyby zużyte na spłacenie długów wojennych Anglii zaciągniętych w Stanach Zjednoczonych. Niepłacenie długów wojennych i zrezygnowanie z odszkodowań — było rozwiązaniem łatwiejszym.

#### KRÓTKA PAMIĘĆ OPINII PUBLICZNEJ

Torysi tak dalece zapomnieli o swojej „twardości“ w stosunku do Niemiec, że gdy w r. 1935 Lloyd George przypomniał w Izbie Gmin, że Lord Halifax i Sir Samuel Hoare należeli kiedyś do „twardych“, przypomnienie to wywołało sensację. Co się zaś tyczy owych sloganów, z którymi torysi poszli do wyborów w r. 1919 — to poradzili sobie oni z nimi w równie prosty jak skuteczny sposób. Uznali je po prostu za jeszcze jeden wulgaryzm i chwyt demagogiczny Lloyda George'a. Daremnie domagał się Lloyd George od torysów, aby mu przypomnieli, kiedy i przy jakiej sposobności miał rzekomo sformułować te slogany. Daremnie przekonywał, że wzięwszy pod uwagę całość jego stosunku do Niemiec, nie byłby on mógł takich hasel wyborczych rzucić. Daremnie wskazywał, że traktat wersalski podpisali również Lord Balfour i Lord Milner. — Nic nie pomogło. Angielska opinia publiczna uporczywie przypisywała Lloyd George'owi autorstwo tych sloganów. „Nie znam — powiada Mc Callum — nic bardziej podłego i bardziej godnego pogardy w polityce brytyjskiej, aniżeli ten negardny wybłęd. Miał on jednak wspaniały sukces. Ilekrót obarczano konserwatystów odpowiedzialnością za autorstwo tych sloganów — po prostu milczeli, i wskutek tego milczenia utrwaliło się w opinii publicznej przekonanie, że nie mogli oni mieć nic wspólnego z takimi szaleństwami politycznymi.“

Tak więc pięć, sześć lat po pierwszej wojnie światowej całe społeczeństwo angielskie było zgodne w niechęci do traktatu wersalskiego i do konsekwencji, jakie z niego wypływały, chociaż widzieliśmy, że każda partia miała specjalne i odrębne powody do tej niechęci. Prędko, aż nadto prędko, poszło w zapomnienie niebezpieczeństwo agresji niemieckiej i okrucieństwa wojenne „hunów“.

Ta zadziwiająco krótka pamięć opinii publicznej jest zjawiskiem ze wszech miar godnym uwagi socjologów i polityków. Autor książki podjął się trudnego i niewdzięcznego zadania. Opinia publiczna jest podobna do płochej i lekkomyślnej niewiasty, która nie uznaje starzenia się, wypiera się swej przeszłości i oburza się na tych, którzy jej wprawiają grzechy młodości. Dlatego we wstępie autor niejako z góry rezygnuje z wdzięczności. Ale trud jego rzeczywiście był duży. Dla zbadania ewolucji opinii publicznej musiał Mc Callum (biedny!) przeczytać wszystkie dzienniki, czasopisma i sprawozdania parlamentarne z całego ćwierćwiecza. Trzeba było do tego prawdziwie angielskiej cierpliwości.

Pewne właściwości tych źródeł przeszły i na książkę. Cechuje ją gdzieś tam rozwickła pływająca dziennikarska i pedantyczna nuda diariuszy sejmowych. Ewolucję angielskiej opinii publicznej w stosunku do traktatu pokojowego można było ująć zwięźle, ściślej i głębiej. Zwłaszcza podłoże ekonomiczne tej ewolucji potraktował autor zupełnie pobieżnie. W niniejszych uwagach próbowałem w pewnej mierze zapełnić tę lukę.

Stanisław A. Majewski

ILIA ERENBURG

# W Ameryce

przełożyła ZOFIA MARYNOWICZ

Dzisiejsi Kolumbowie nie mają wiele czasu; samolot „Constellation“ przecina Atlantyk w niespełną dobę. To wspaniała i piękna maszyna; można w niej regulować temperaturę i nawet na znacznej wysokości nie boją w niej uszy. Wydano nam instrukcje, w których było powiedziane, że na wypadek przymusowego lądowania pośrodku oceanu najlepiej zdjąć buty i wskoczyć do gumowej łódki. Rady te wydały mi się abstrakcyjne i niezbyt zachęcające. Smutkiem napawało mnie zachowanie się wskazówki zegara; lecieliśmy całą noc, a o siódmej rano okazało się, że przylecieliśmy o północy; kiedy my — jeszcze zgodnie z obyczajami europejskimi — popijaliśmy poranną herbatę, Amerykanie kładli się do snu.

Ledwie wysiadłem z samolotu, natręczyli dziennikarze zaczęli mnie wypytywać, jak mi się podoba Ameryka. Cóż im mogłem wtedy powiedzieć? Miałem im mówić o przemysłowości celników? Czy może o ślepocie reporterów?

Wiem, że niektórzy amerykańscy dziennikarze przyjeżdżali do Rosji z gotową o niej książką (jedni tę książkę mieli dopiero w głowie, inni — w teczce). Nie chciałem robić tak jak oni, patrzyłem uważnie i starałem się zrozumieć to, co widziałem.

Wiele w życiu podróżowałem, objechałem całą Europę. Czasami wydawało mi się, że nie potrafię się już niczym dziwić. Znalazłszy się w Ameryce zrozumiałem, że nie wyobrażałem sobie bardzo wielu rzeczy; tutaj wszystko jest inne — i miasta, i wieś, i obyczaje. W lecie strasznie tu gorąco — nie są to jednak europejskie upały — powietrze wilgotne jak w oranżerii. Oliwki tu większe niż śliwki, ale bez smaku. Ludzie o wiele częściej gestykują nogami niż rękami, w teatrze — widzowie chcą wyrazić swój zachwyt — gwizdzą przeraźliwie.

Nie może zrozumieć współczesności ten, kto nie rozumiał Ameryki. Poświęcono jej setki artykułów, setki pamfletów — łatwo się nią zachwycać, łatwo ją też wyśmiewać. Bo jest to też kraj, który posiada nie tylko własne, swoiste oblicze, ale posiada ich tak wiele, że trudno go zrozumieć. Trudno w krótkich notatkach oddać silne, nieraz bardzo sprzeczne wrażenia z tego kraju. Nieraz za skomplikowaną techniką kryje się prostota duchowa, to znów spoza tej prostoty wylaniają się nieoczekiwane komplikacje.

Cenię bardzo amerykańską literaturę. Nie tak łatwo dziś znaleźć wśród pisarzy zachodniej Europy równych Hemingwayowi, Faulknerowi, Steinbeckowi i Caldwellowi. Mogłbym — ostatecznie — wymienić jeszcze dwadzieścia nazwiska. Ale poza tym — pustka, błahe opowiadania w ilustrowanych tygodnikach, tak banalne i głupie, że nie chcieliby ich czytać nawet najmniej wymagający europejscy czytelnicy. Nie ma tu przeciętnej literatury, tak jak nie ma tu domów czterech czy pięciopiętrowych. Drapacze chmur w New Yorku znajdują uzasadnienie w położeniu geograficznym: to olbrzymie miasto zbudowane jest na małych wyspach. Ale w każdym prowincjonalnym mieście można zobaczyć kilka drapaczy chmur wśród tysięcy parterowych domków. Takie są kontrasty Ameryki.

Na dworcu kolejowym Atlanty zachwycony byłem szafami-automatami, służącymi do przechowywania bagażu. Wrzuciwszy monetę, otrzymuje się klucz i można samemu zamknąć swoje walizy. Chciałem właśnie powiedzieć memu amerykańskiemu przewodnikowi: „Wy umiecie ułatwiać człowiekowi życie!“ — nie zdążyłem jednak tego powiedzieć — wzrok mój padł na ciemną, cuchnącą salę z napisem „Dla kolorowych“; drzemali tam Murzyni i Młaci. W Stanie Missisipi widziałem dom plantatora; była tam lodownia i wyciagaczka, cudowny odbiornik radiowy i wspaniałe wentylatory. Plantator najspokojniej w świecie zaczął mi tłumaczyć, że ludzie o czarnej skórze — nie są w ogóle ludźmi. Ani radio, ani wentylatory nie wywarły najmniejszego wpływu na umysłowość tego władcy niewolników.

Byłem w kilku mniejszych miastach uniwersyteckich. W Ameryce robi się bardzo dużo, aby naukę podnieść na odpowiedni poziom. Widziałem wspaniałe biblioteki, widziałem uczonych otoczonych opieką. Ale np. w stanie Tennessee profesorowie opowiedzieli mi, że nie wolno im wyklądać w szkole teorii ewolucji; prawo zabrania wszelkiego odstępstwa od biblijnego mitu o Adamie i Ewie.

We wszystkich amerykańskich miastach znajdują się kluby „Iwów“; udało mi się raz być na śniadaniu w takim klubie. Zebrali się szacowni kupcy; każdy z nich miał na pierśiach tabliczkę z wyjaśnieniem, gdzie i czym handluje — śniadania związane są ściśle z interesami. Jednak przedtem nim zebrani zaczęli się do kompotu z majonezem i do szynki z rodzynkami, przewodniczący, stuknąwszy w stół drewnianym młotkiem, zawołał: „Witajcie Iwowie!“ Handlowcy, ludzie w średnim wieku, natychmiast wstali i chórem zawyli: „U-u-u-u“. Zdebiłem, ale wyjaśniono mi, że członkowie klubu naśladują tylko ryk Iwów. Ma się rozumieć, że ryki handlarzy szelkami — to zajęcie niewinne. Bywają przedstawienia

bardziej szlachetne. W stanie Georgia był niedawno napad Ku-Klux-Klanu. Członkowie tej tajnej rzekomo organizacji, ubrani w białeńskie chałaty, złożyli przysięgę na wierność miejscowemu faszystowskiemu führerowi, którego tytułują „wielkim smokiem“. Potem zaprzysięgli powieść kilku Murzynów i zabili kilku „wolnomyślnych“.

Wszystkim wiadomo, że pieniądź w Ameryce cieszy się wielkim szacunkiem. Mimo wielu setek zarejestrowanych kościołów i sekt istnieje jeszcze jeden kult — kult dolara. Krytyk malarstwa, przedstawiając mi młodego artystę niewyraźnie bąknął jego nazwisko — za to dobitnie zaakcentował: „trzy tysiące dolarów“... Konferansjer w kabarecie oznajmia publiczności, że na sali znajdują się znakomici goście: aktorka, senator i kupiec, „który po wojnie potroił swe obroty“. Bywałem na obiadach-mityngach. Początkowo wszyscy pośpiesznie żują kurę, potem oratorzy wygłaszają długie mowy, następnie śpiewaczka wykonuje sentymentalny romans, a w końcu pastor urządza zbiórkę na dobroczynne cele. Ogłasza on nazwiska najbardziej szczodrych

kanie, już szuka innego, przy czym stara się urządzić je skromniej — wyjeżdża i rzuca wszystko. On nigdy nie robi ubrań na zamówienie — bo po co? W pierwszym lepszym magazynie dostanie ubranie dobrze uszyte i tanie, ponosi je i rzuci. Koszulę kupuje lada jaką, że nie opłaca się jej nawet prac. Ma wprawdzie szacunek dla starych kominków, ale lubi nowe pstre krawaty, lubi łałas.

Historia Stanów Zjednoczonych nie sięga odległych wieków; to prawdziwa historia nowożytna. Nawiasem mówiąc, historia, której uczą w szkole, wygląda różnie w różnych stanach: na Północy nazywają południowców obrońcami niewolnictwa, na Południu nazywa się ludzi Północy — gwałcicielami. Sprawy aktualne przesłaniają często poczucie historii. Dla przeciętnego Amerykanina upływa prawie epoka pomiędzy gazetą poranną i wieczorną, i nie zawsze pamięta on wieczorem, co go poruszyło z rana.

Pewna dama powiedziała do mnie: „Pan nie będzie mógł czytać tej powieści, to przecież żadna nowość. Wydana jeszcze dwa lata temu!“



Przed laty: Ilia Erenburg i Julian Tuwim na dworcu warszawskim.

ofiarodawców. „Mr Smith dał pięćset dolarów“... Wszyscy zgodnie klaszczą, mr Smith wstaje i kłania się.

Mniej wie się o tym, że obok ludzi „z głową na karku“ istnieje w Ameryce bardzo wielu naiwnych marzycieli, szlachetnych idealistów. Spotkałem wybitnego wynalazcę, który wyzwał się majątku, gdyż obawiał się, że wynaleziona przez niego maszyna pozbawi chleba setki tysięcy robotników rolnych. Rozmawiałem z prowincjonalnymi utopistami, którzy nie dojadają i nie dosypiają, poświęcając pieniądze i siły fantastycznemu projektowi utworzenia „wszechświatowego rządu“. W pewnym mieście spotkałem znów dziwaków, którzy są przekonani, że przy pomocy esperanto unieszkodliwią bombę atomową. Wszędzie istnieją towarzystwa ochrony praw Murzynów. Rok rocznie sadza się na elektrycznym krześle niewinnie zasądzonego Murzyna i rok rocznie najlepsi ludzie Ameryki protestują przeciw rasowemu barbarzyństwu. Tak, w Ameryce istnieje kult dolara, ale są też w Ameryce ludzie, którzy wyrzekają się butów, odmawiają sobie pójścia do kina, by móc posłać podarek jugosłowiańskim dzieciom.

Amerykanie mają w sobie wiele z dzieci: są bezpośredni, otwarci, ciekawi i hałaśliwi. Najstarsza część Ameryki nazywa się Nowa Anglia. Wszystko tu nowe, wszystko młode. W Nowym Orleanie zachowała się francuska dzielnica z domami z XVII i XVIII w. Takich domów w Europie mnóstwo i nawet najbardziej gorliwi turyści nie zwracają na nie uwagi. A „stare miasto“ Nowego Orleanu — to prawie Pompeja, miejsce istnych pielgrzymek. W każdym domu urządzono albo antykwariat, albo stylizowaną gospodę. Byłem tam w upalny dzień (zwrotnik niedaleko!) i oto w jednej gospodzie płonął kominek — dla oddania stylu epoki. Amerykanie, złani potem, siedzieli przy kominku i pili wodę z lodem — chcieli spędzić kilka chwil w starożytnym domostwie. Musi się pamiętać o wieku tego kraju, żeby móc zrozumieć Amerykanów.

Ludzie tutejsi lubią życie koczownicze. Nawet siedząc w pokoju raz po raz zrywają się, zamieniając się miejscami. Chętnie przenoszą się z miasta do miasta, z jednego stanu do drugiego. Człowiek, który mieszka tam, gdzie się urodził, to osobliwość.

Nie ma niczego bardziej biegunowo przeciwnego angielskiemu charakterowi i angielskim obyczajom, niż charakter i obyczaje przeciętnego Amerykanina. Anglik jest poprawny, flegmatyczny, lubi dokonać żywota w domu swego pradziada, zamawia sobie ubranie z dobrego materiału, obliczając, że będzie je nosił jeżeli nie do śmierci, to w każdym razie do nowych wyborów. Amerykanin lubi tylko rzeczy nowe. Ledwie zdąży urządzić sobie miesz-

Rozmawiałem z profesorem Einsteinem o kampanii, jaką obecnie prowadzi szereg poważnych pism przeciw Związkowi Radzieckiemu. Wskazałem mu artykuł, w którym odbudowa Stalingradu urosła niemal do aktu „sowieckiego imperializmu“.

Prof. Einstein odpowiedział: „Takie artykuły obliczone są na czytelników, którzy już zapomnieli o tym, co to jest Stalingrad“. I profesor opowiedział mi o pewnym plemieniu afrykańskim, w którym ludzie otrzymują imiona od nazw przedmiotów lub zjawisk: „Góra“, „Palma“, „Zorza“, „Jastrząb“. Kiedy człowiek umiera, imię jego staje się tabu i trzeba wymyślać nową nazwę dla góry, zorzy, palmy czy jastrzębia. Jest rzeczą oczywistą, że takie plemię nie posiada ani legend, ani tradycji.

Antyradzieccy ideologowie lubią przedstawiać nasz kraj jak jakieś wielkie koszary, w których ludzie pozbawieni są wszelkich cech indywidualnych. Sowieckiego czytelnika ubawi na pewno zdumienie amerykańskich redaktorów, którzy zobaczywszy nas, troje gości — powtarzali: „Wybaczenie, ale oni przecież nie są wcale aż tak bardzo podobni do siebie“.

Istotnie, nie znam innego kraju, który by osiągnął szczyty standaryzacji w tym stopniu co Stany Zjednoczone. Zwiedziłem kilkadziesiąt miast amerykańskich; trudno odróżnić jedno od drugiego. W każdym mieście jest „Main Street“ — główna ulica z kinem, modnymi sklepami, ze świetnymi reklamami papierosów lub napoju „koka-kola“. Żaden Amerykanin nie odróżni na fotografii głównej ulicy jednego miasta od głównej ulicy setek innych miast. Ma się rozumieć, że New York posiada własny charakter; nie darmo Amerykanie zwykle rzędzą, że „New York to nie Ameryka“. Gigantyczny, różnoplemienny New York jest dla mieszkańca Birminghamu czy Saint-Louis czymś pośrednim pomiędzy poczekalnią kolejową, jaskinią zbójców a wiecem wolnomyślności. New York wstrząsa też wewnętrznie przyjeźdźnych. Architekt Corbuser nazwał to miasto „katastroficzną feerią“. Mnie się wydaje, że równie dobrze można by je nazwać feeryczną katastrofą. Miasto wraza stało tylko w zwyczaj, stało się jakimś ogromnie wysokim lasem z żelbetonu. Wieczorem wygląda znów jak góry z błyskającymi na nich światłami. New York jest wielobarwny, hałaśliwy i meczący. W mieście tym są dziesiątki dzielnic-oddzielnych miast — są dzielnice murzyńska, żydowska, włoska, portorykańska, niemiecka i in. W dzielnicy japońskiej cyrylicy reklamują się, że bez śladu usuwają sińce z twarzy. W murzyńskim Haarlem spotkać można „kliniki koszul“ i prywatne lombardy, gdzie można zastawić podarte spodnie. Na 57 ulicy handluje się arcydzielniami europej-

skich malarzy. Na 5 Avenue paradują w bobrowych futrach żony milionerów. New York to centrum myśli politycznej i sztuki. Oficjalnie nie jest on nawet stolicą stanu, po prostu miasto bez przydziału — faktycznie jest to stolica całej Ameryki. Są jeszcze dwa — trzy miasta, które zachowały swój charakter — San Francisco, New Orleans, Boston. Wszystkie inne miasta nie mają własnego oblicza. Są to po prostu skupiska pewnej ilości mieszkańców.

Również przedmioty codziennego użytku są zestandaryzowane. Takie same spodnie, takie same imbryki na klawie, jednakowe fotele. Nie mówię tu w formie zarzutu, wprost przeciwnie, dzięki seryjnej produkcji udało się Amerykanom podwyższyć swą stopę życiową. Sądzę, że moglibyśmy się uczyć u Amerykanów, w jaki sposób szybko i dobrze produkować pantofle czy rondle. Niemal wszystkie przedmioty zbytku są importowane i sprzedawca sklepowy, chcąc usprawiedliwić wyższą cenę tej owej rzeczy, wyjaśnia: „To towar zagraniczny“.

Choć monotonia ta jest naprawdę nużąca: takie same domy, takie same meble, takie same naczynia, mężczyźni w jednakowych ubraniach, kobiety w jednakowych sukniach, mimo to nie zgadzam się z europejskimi estetami, którzy sztytą za standaryzacji Ameryki. Niech sobie będą wszystkie ubrania jednakowe, byleby tylko były dostępne dla wszystkich.

O wiele bardziej niepokojąca jest znana powszechnie standaryzacja duchowa. Amerykanie lubią bardzo mówić o swej niezależności, jednakże ich poglądy, upodobania, uczucia, a co za tym idzie i postępy regulowane są przez czynniki zewnętrzne. Kino np. stwarza typ piękności, przy czym gazety podają wszystkie detale idealnie zbudowanej kobiety; to standard pożądanym. Wskazówki te potrzebne są Amerykanom po to, by mogły możliwie najbardziej upodobnić się do tej czy innej gwiazdy filmowej, a mężczyźni, nawet nie zauważwszy tego, zakochują się wedle szablonu. W Ameryce nie ma książek o przeciętnym nakładzie. Nawet najznakomitsza książka, jeśli jakiś „klub książki“ nie uzna jej za godną czytania, rozchodzi się za ledwie w kilku tysiącach egzemplarzy; w razie uznania przez klub będzie wydana w setkach tysięcy egzemplarzy. Przeciętny bowiem Amerykanin nie zadaje sobie trudu, by wybierać, prawo wyboru pozostawia klubowi. Prasa i kino idealnie pozbawiają oblicza ludzi, którzy wieczorem spacerują po tysiącach „Main Street“. I tu leży rozwiązanie zagadki tej monotonii, która ciąży nad każdą wolną chwilą Amerykanina.

Amerykanie umieją zarabzać pieniądze, nie nauczyli się jednak jeszcze ich wydawać. Nie znaczy to, że są skąpi. O nie, potrafią też puszcząć pieniądze, szybko i energicznie, ale bez fantazji. O wiele więcej talentu wykażują w pracy niż w zabawie. Powiedziałbym, że najbardziej wesoły obrazek w Ameryce — to mieszczuch na łonie przyrody; młodzież nad brzegiem morza jest pełna radości życia. Ale w kinie uderza na wpół senna atmosfera, odurzenie widowni, która rzadko tylko reaguje śmiechem na najbardziej śmieszne lub pozornie śmieszne sytuacje. Spotyka się wielu pijanych, mimo że w większości stanów w ten czy inny sposób ograniczona jest sprzedaż napojów wysokowych. Są stany „suche“, są takie, gdzie whisky można dostać tylko na kartki, są takie, gdzie nie można pić w niedzielę, są wreszcie i takie, gdzie wolno pić tylko na siedząco, nie wolno zaś pić na stojąco.

Wspaniałe są samochody amerykańskie; jest ich mnóstwo i przeciętny Amerykanin entuzjastycznie się nimi. Przedtem raz na dwa czy trzy lata zmieniał on samochód; kupował nowy, a stary szedł na szmelc. Teraz Amerykanin kupuje auto, które będzie mu dostarczone dopiero za pół roku; to w sposób przykry przypomina, że gdzieś tam w świecie szalała straszna wojna. Rozumiem miłość Amerykanów do maszyn. Ale nie rozumiem, dlaczego niektórzy z nich z samochodu zrobili sobie dom: są restauracje, gdzie obiad podaje się na tacy i ludzie spożywają go w aucie; są podmiejskie kina, gdzie auta zatrzymują się na dworze przed ekranem i ludzie oglądają film nie opuszczając samochodu; wystarczy wreszcie przejść się wieczorem po centralnym parku New Yorku, że by się przekonać o jeszcze jednym przeznaczeniu samochodu — dla zakochanych służących za słubne łożo. Takie nawyki sprawiają, że życie przedstawia się nieco smętnie: oczywiście nie dlatego, że ludzie noszą konfekcyjne pidżamy, lecz dlatego że pod tymi konfekcyjnymi pidżamami jakże często kryją się konfekcyjne uczucia!

Przeciętny Amerykanin w przeciętnym amerykańskim mieście z całym przekonaniem będzie zapewniał, że jest najbardziej wolnym człowiekiem na świecie. Dlaczego płaci tyle za elektryczność? Proszę bardzo, na to jest gotowa odpowiedź: elektrownia należy do prywatnej firmy, a państwo nie ma prawa mieszać się do spraw prywatnych przedsiębiorstw — i to jest właśnie wolność.

W Ameryce są prywatne wodociągi, prywatne mosty i szosy. Za przejechanie mostu łączącego stan Missisipi z Luizjaną płaci się właścicielowi mostu półtora dolara. Wołno jednak państwu czy władzom stanowym mieszać się do prywatnego życia obywateli i Amerykanie doskonale to godzą ze swoją koncepcją wolności osobistej. Policja może wdrzeć się do pierwszego lepszego pokoju hotelowego i zastawczy w nim parę zażądać okazania metryki ślubu. Żeby móc pobrać się w najkrótszym czasie, wystarczy przejechać ze stanu Tennessee do stanu Alabama; na granicy wiszą szyldy osób prywatnych, które uzyskały prawo udzielania ślubów; szyldy bardzo zachęcające: „Tu udzielą się ślubów szybko i tani!” To znów, żeby się rozwieść, bez całej nieprzyjemnej procedury i podstawionych świadków, mieszkańcy stanu New York udają się do stanu Nevada. Właściciele hoteli robią przy tym majątki. By móc spokojnie wypić kieliszek whisky, mieszkańiec Missisipi jedzie do Luizjany. Na granicy tego stanu widziałem kilka knajp z napisami „Ostatnia szansa”.

W stosunkowo krótkim czasie stworzyli Amerykanie imponującą technikę. Widziałem, w jakim tempie budują drapacze chmur, jak dobrze i precyzyjnie budują samochody w Detroit, ile posiadają urządzeń ułatwiających człowiekowi codzienne życie. Czy można nie chwalić amerykańskich szos, z tanimi i wygodnymi domkami dla automobilistów, którym wypadnie nocować w drodze.

Nie jeden Amerykanin, patrząc na fabryki, przepiękne mosty New Yorku, restauracje-automaty, brzytwy elektryczne — gotów jest uwierzyć, że cała kultura ludzka skoncentrowała się w Ameryce. Pewien dziennikarz w Jackson powiedział do mnie: „Rzym to brudne i brzydkie miasto; przecież tam nie ma nic do oglądania. Ani jednego drapacza chmur, apteki też bardzo podłe. Po Rzymie Jackson wydał mi się stolicą...”. W jaki sposób wyjaśnić takiemu człowiekowi, że drewniane bazyliki czy renesansowe pałace warte są co najmniej tyle co drapacze chmur w Jackson, że oprócz apteki, gdzie można kupić papierosy, wieczne pióro i gumę do żucia, czy nawet zjeść parówki, istnieją jeszcze bizantyjskie mozaiki, czy freski Rafaela.

Amerykanie za mało znają świat poza własnymi granicami. Nie znają historii ani geografii Starego Świata. Grupa uczniów nie potrafiła wymienić nazwy ani jednego miasta w Związku Radzieckim. Niewysoki jest też poziom uświadczenia politycznego; ludzie znają szczegółowo z intymnego życia różnych senatorów, natomiast słowo „socjalista” (nie mówiąc już o „komunistach”) poczytane jest za obrażę i za nazwanie kogoś „socjalistą” bywa się oskarżonym w sądzie o oszczerstwo. Amerykańskie gazety piszą często, że istnienie dwu partii jest podstawą prawdziwej demokracji. Trzeba zauważyć, że nikt właściwie nie wie gdzie przebiega granica ideologiczna między tymi dwiema

partiami i czym się różnią północni republikanie od południowych demokratów.

Niektórzy Europejczycy wysmiewali Amerykę za jej kult techniki. Ci sami Europejczycy spoglądają teraz pokornie na wysmiewanych kuzynów, w nadziei, że dostaną od nich jakiś stary samochód czy niemodne ubranie. Tu nie ma się z czego wyśmiewać, nie ma też czemu pochlebiać. Rozwój Ameryki poszedł inną drogą, niż rozwój starej Europy. Francja zaczęła prawie od gotyckich świątyni i trubadurów. Ameryka zaczęła od automobili, aptek-bufetów i od gorączki złota. Szybko osiągnęła wysoki poziom kultury materialnej. Jeśli zaś idzie o kulturę duchową, ta dopiero zaledwie kiełkuje. Znając rozum, żywotność i energię Amerykanów można powiedzieć, że duchowa kultura tego narodu będzie wielka i samodzielna.

Pewne zmiany zaszły już w politycznej świadomości przeciętnego Amerykanina: przekonania jego stają się coraz twardsze. W otoczeniu Roosevelta byli ludzie nie tylko godni szacunku, ale i rozumni; potrafili oni zrozumieć bieg historii. Jeśli nawet ci ludzie zostali dziś odsunięci od rządów (czy odsunęli się sami), to przecież dzieło zmarłego prezydenta nie przeminęło bez śladu. Wśród robotników zauważyliśmy również pierwsze objawy samodzielnego myślenia, prawdziwej solidarności i uświadczenia swego zadania narodowego. Era, w której demagogdy i awanturnicy przewodzili robotnikom, dobiega końca. Widzimy trud uczonych amerykańskich, któ-

rzy tyle dali światu. Wspomniałem o pisarzach — nie są to odszczepieńcy, czy saloniści esteci, są to ludzie związani organicznie z narodem, nawet wtedy, kiedy masy czytelników nie czytają ich wcale. Wydaje mi się, że — w przeciwieństwie do pisarzy francuskich — można by porównać amerykańskich pisarzy do olbrzymich drzew o silnych korzeniach. Kino stworzyło już prawdziwy, ogólnoludzki humor — prócz Chaplina wymienię choćby braci Max; kino stworzyło również kreskówki Disneya, istną poezję, zdolną wzruszyć nawet człowieka pozbawionego zupełnie odczucia lirycznego. Wreszcie i w architekturze New Yorku tkwi może niepokojące ale bezsporne piękno.

Powstała już amerykańska inteligencja. Jest jeszcze słaba i niezbyt pewna siebie; ucieka od reklam świetlnych, ogłaszającej muzyki mechanicznej w barach, od kazań kościelnych, przepłatanych reklamami firm handlowych i od reklam z cytatami z Biblii; ucieczką dla nich jest negacja życia, melancholia, która ma coś z Czechowa, czasem uśmieszka a czasem utopia. Ale wśród inteligencji jest coraz więcej ludzi odważnych, którzy rozumieją, że ratunek leży nie w ucieczce od życia, nie w odsuwaniu się od niego, ani w samotności. Szukać go trzeba gdzie indziej. A znaleźć go można podnosząc poziom duchowego życia przeciętnego Amerykanina do poziomu techniki, która mu towarzyszy od kliniki, gdzie się urodził, do krematorium.

Ilia Erenburg  
przełożyła Zofia Marynowicz

rys. KAROL FERSTER

TADEUSZ BREZA

## Jak zostałem człowiekiem pióra\*)

Na pytanie: w jaki sposób zostaje się pisarzem — można odpowiedzieć chyba najrzetelniej za pomocą metody biograficznej. Są oczywiście i inne, na przykład: psychologiczna. Jest to droga różnych subtelnych rozważań na temat mności swoich właściwości duchowych i sercowych, które wspólnie zadczydowały o tym, że człowiek musi i może pisać. Tej drogi jednak nie chcę tykać. Mówić o sobie psychologicznie, to jak gdyby na samym sobie przeprowadzać operację usuwania wyrostka robaczkowego. Któż w sobie zdołał się do niego sam dostać? Doprawdy nikt!

Montaigne w swoich „Próbach” bardzo poważnie rozważa tę sprawę autoanalizy, w rzeczywistości tak paradoksalną. Ze wszystkich bowiem przedmiotów badania na świecie — powiada on — najlepiej jeszcze człowiek zna siebie samego. Leży bowiem samemu niejako pod nosem. I to na stałe! Niczym jakikś urzędnik w biurze, który załatwia same sprawy sekretne, zagląda sobie człowiek do wszystkich tajnych aktów w swoim środku. Ale właśnie ta obfitość i pieńszoplanowość informacji — powiada Montaigne — może gubić obserwatora. Znamstwo tysiąca sprężyn i szczegółów zaciera plan całości.

Podobna prawda rzuca się nam nieraz w oczy w trakcie lektury pamiętników różnych znakomych mężów stanu: obfitość szczegółów zasłania im rzeczy najprostsze. Podobnie układa się sprawa z taką autoanalizą, którą by człowiek chciał przeprowadzić na samym sobie: małe sprawy na pierwszym planie zastąpią mu jego fundamentalne tendencje ludzkie. Wyjątkowe odruchy, własnie przez to wbitne w pamięć, że wyjątkowe, wybijają się na pierwszy plan, spychając na plan drugi wszelkie codzienne, najcharakterystyczniejsze zachowanie. Z tych względów muszę się odwrócić od metody psychologicznej.

A od socjologicznej? Bo można by od strony socjologii poprobować rozpatrzeć to pytanie, w jaki sposób ja, na przykład, doszedłem do tego, że zostałem człowiekiem pióra. Z jakich to przyczyn środowiskowych do tego doszło? Jakie tendencje i siły w moim środowisku czy społeczeństwie potrzebowały mnie, abym o nich i o nim się wypowiedział? Od tej metody postępowania również się odwrócę. Nie dlatego, by w zasadzie była zawodna, ale dlatego, że w praktyce bywa zawodna, a poza tym ma podobną wadę co metoda psychologiczna, a mianowicie tę, że jest to w końcu raczej metoda stawiania hipotez, niż metoda analizy. Metoda której największą ambicją jest ułożyć to, co bada, w najlogiczniejszą całość, toteż bardziej dba ona o to, aby dać mało-widło doskonale trzymające się kupy, niż o to, aby zasygnalizować stan rzeczy może mniej zgrabnie zestawiony, lecz za to bardziej prawdziwy.

A zatem na postawione sobie pytanie, w jaki sposób zostałem pisarzem, nie będę odpowiadał za pomocą metody socjologicznej. Odpowiem bez żadnej metody. Opowiem po porządku jak się to odbyło. Według tych danych, jakie zachowałem w pamięci.

Kiedy jednak namyślałem się, w jaki sposób doszło do tego, że zostałem pisarzem, pytanie to w moich wspomnieniach zaraz się odwraca. Przymyślam sobie wszystkie oko-

liczności, w których nie to się wysuwa na czoło, że zostałem pisarzem, ale to, że żadną mocą nie mogłem zostać czym innym. Nie mogłem, bo żadna inna droga ani żadne inne zajęcie nie potrafiło mnie przykuć. Nie mobilizowało wszystkiego, co mogło być we mnie zmobilizowane, albo też mobilizowało, ale na krótko. O literaturze zaś jako o zajęciu wyłącznym nie myślałem.

Nikt z naszych bliskich ani z naszych znajomych tego nie robił, prócz jednego wuja, który od czasu do czasu wydawał po jednym tomie bardzo dzwinych rozważań, gdzie w tekście chwalił sobie różne rzeczy i różnych ludzi, których w przypisach mieszał z błotem. W końcu zrujnował się na drukarzu. Przez lata całe to doświadczenie rodzinne nie straciło dla mnie swojej wymowy, toteż ilekroć powracałem do rozważań o tym, w jaki sposób ułożył sobie życie, myślałem o różnych powołaniach i fachach, nigdy o literaturze.



W latach, w których chciałem żyć w twardej oparciu o rzeczywistość, zabierałem się do studiów prawniczych, albo na długie okresy zasiadałem za biurkiem urzędniczym. W latach innych, kiedy za wszelką cenę zdecydowałem się żyć życiem wyższym, zabierałem się do filozofii, do solidnych studiów filozoficznych na uniwersytecie lub też z całą pokorą postanawiałem poświęcić swoje życie Istocie Najwyższej i pewien swego powołania i trafności w tym najgórniejszym z wyborów, zabierałem się do tego, żeby zostać mnichem. Zawsze za wysoko albo za nisko! Nigdy tam, gdzie mi się należała droga.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, żeby moim powołaniem mogła być sztuka, ten rodzaj pracy i powołania, który w tak ścisły i cudowny sposób właśnie łączy ziemię z niebem, świat realny ze światem nierealnym, fikcję z prawdą. A ja tego właśnie — sam nie wiedząc — pragnąłem! Akurat i tylko tego. Toteż nie mogłem usiedzieć przy biurku w urzędzie, mdło mi było od tego zajęcia, bo było tylko konkretne i powszednie. A kiedy rzucałem tę robotę i ten chleb i w najtrudniejszych warunkach życiowych zabierałem się do mojej pracy naukowej w filozofii albo, jak przed chwilą wspominałem, licząc już tylko na Boga, uciekałem się wprost pod jego skrzydła do jednego z klasztorów, robiło mi się po niejakiem czasie nieswojo z tego powodu, że zaczynałem się bać, by życie nie upłynęło mi w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości. By mi nie upłynęło w chmurach.

Klasztor, o którym opowiadam, to był klasztor nie byle jaki. Zakon również był jednym z najszacowniejszych i najstarszych. Nie mówię tego przez jakąś pozostałość patrio-

tyzmu zakonnego, ale dlatego, że doprawdy każdy człowiek oświecony w historii Kościoła przyzna mi, że reguła benedyktyńska to królowa reguł klasztornych.

Opactwo, które mnie przyjęło, znajdowało się poza granicami Polski. A nawet przyjęło mnie dlatego, że w granicach Polski klasztorów tego typu nie było. W dawnej Rzeczypospolitej, tej królewskiej, liczne, zwolna pogasły na całym obszarze dawniej polskim w ciągu XIX wieku. Stało się to za sprawą rządów zaborczych, rosyjskiego i pruskiego, ale nie bez winy również samego społeczeństwa, obojętnego w stosunku do tego zakonu, w którym więcej o każdym z zakonników stanowiła jego nauka niż jego modlitwa.

Po odzyskaniu niepodległości, tym pierwszym, zakon skupił się, aby odytąć kraj, w którym kiedyś tak bujnie się krzewił. Po całym świecie, we wszystkich krajach zaczęto przetrząsać klasztory, patrząc czy nie ma w którym z nich zakonników tej reguły, będących zarazem Polakami. Zebrała się ich garstka. Jeden, pamiętam, nazywał się Niemiec, urodził się i odchował w Polsce, ale właściwie to był z niego Czech. Innych, z Włoch, z Afryki, z Belgii, zebrało się tak niewiele, że nie można było uformować nie tylko specjalnej polskiej „provincji”, to znaczy zespołu jednonarodowego kilku klasztorów, ale nawet nie można z nich było uformować pojedynczego klasztoru czy opactwa. Wtedy pomyślano sobie, że trzeba zacząć wszystko od początku. Jeśli nie można zacząć od ojców od razu już gotowych, to trzeba zacząć od ludzi, którzy by okazali gotowość przejścia przez tych sześć czy siedem lat studiów i przygotowania duchowego, zanim sami zostaną ojcami zakonnymi. Ja właśnie byłem jednym z tych, którzy okazali taką gotowość! Ale do końca tylu lat nie dotrwałem. Ani nawet do ich połowy!

Klasztor, który mnie przyjął, mieścił się w Belgii, niedaleko morza i niedaleko słynnej Brugii, tego zabytkowego miasta, które zachowało się ściśle w swoim średniowiecznym kształcie, bez ruin i bez żadnych nowych domów. Rań porywa tam człowieka na nogi zgłęb tysiąca dzwonów, pod wieczór na dobre pół godziny zamyka mu usta, bo głos mają dzwony, których nikt nie przegada.

Z tego Bruges wyruszyłem klasztornym konikiem i klasztorną byczuszką do miejsca, w którym miałem zamknąć się na całe lata. Zaprowadzono mnie zaraz do człowieka, który miał być moim ojcem duchowym. Był to Włoch. Od lat kilkunastu kierował nowicjatem. Zaraz w pierwszej rozmowie zapytałem go, czy często odwiedza swój kraj. Okazało się, że ostatni raz widział go przed ówczesnym wiekiem. Poinformowałem go o tym, uśmiechnął się przyjaźnie i porozumiewawczo, i — robiąc aluzję do planów zakonnych na Polskę w związku również i z moją osobą — rzekł: „Ale ty zobaczysz swoją ojczyznę o wiele wcześniej!” (Rzeczywiście zobaczyłem ją o wiele wcześniej, jeszcze wcześniej niż on to przypuszczał i niżeli ja sam myślałem).

Następnie rozmowa zesłała na Brugie, którą byłem zachwycony. Ojciec Vagaccini, tak się nazywał, w pełni dzielił mój zachwyt. W kilku słowach szukał podobieństw i różnic pomiędzy architekturą Brugii a małym miasteczkiem włoskim, które nazywa się San Gimignano. Na koniec zaś dodał: „Ale na te tematy nie powinienem zabierać głosu, bo

już w tym miasteczku nie byłem z dziesięć lat”. Poprawiłem go na lat — dwadzieścia pięć, sądząc że mówi o San Gimignano, ale on mówił o Brugii, o miejscu, które miał pod nosem, o tej miejscowości tuż. Na tę wiadomość, udzieloną mi w sposób tak przypadkowy, zaniemówiłem.

Po chwili przeszliśmy do biblioteki, która znajdowała się obok. Była to biblioteka profesorów. Teraz niewielu profesorów do niej zaglądało, rok nauki się skończył; ja tylko przybyłem wcześniej, ponieważ przed rozpoczęciem studiów powinienem się być przygotować z języków. Ojciec Włoch przedstawił mnie tam kilku ojcom. Jeden był od historii kościoła, drugi od greki. Głównych moich wykładowców nie było w tym pokoju, ani obok, ani w całym klasztorze. Gdzieś są, spytalem i wtedy się dowiedziałem, że jeden wyjechał na wykłady do Rzymu, drugi do Ameryki, trzeci znajdował się na dorocznym kongresie teoretyków poznania w Sztokholmie, czwarty, specjalista od archeologii wczesnochrześcijańskiej, ruszył właśnie do Afryki na czele ekspedycji od wykopalisk. Zamilkłem ze zdziwienia. Moje milczenie musiało być bardzo wymowne, gdyż ojciec Włoch pospieszył z wyjaśnieniem: „Jesteśmy klasztorzem naukowym, a dzisiaj nie ma nauki bez kontaktów z innymi uczonymi!” Byłem wtenczas bardzo młody i wyrwałem się z pytaniem na pewno zbyt bezceremonialnym a tyczącym wprost jego osoby. — „A ojciec?”. Roześmiał się perliście, wyczułem jednak, że go zażenowałem. Nie odpowiedział mi wprost, wrócił jednak do wątku poprzedniego, to jednak, co mi w tym momencie rzekł, oświeciło mnie w kwestii dotyczącej jego osoby, a takiej zagadkowej: „Ale zanim — powiedział — do tych uczonych spotkań, do uczestnictwa w tych różnych wykładach i zjazdach dojdzie, zakonnik musi być do nich przygotowany”. — „Naukowo?” — spytałem. — „Duchowo!” — odparł Włoch. „Podróż, wyjazd w świat, sukcesy wśród ludzi muszą się wprawdzie stać zakonnikowi zupełnie obojętne. Dopiero kiedy go nie do podróży nie ciągnie, jest do podróży przygotowany! Póty zaś klasztor zamyka przed tobą świat, póki się do niego w ten sposób, jak ci powiedziałem, nie przygotujesz!”.

Od następnego więc dnia zacząłem się do niego przygotowywać. Raz mi szło lepiej, raz mi szło gorzej. Z rozmachem uczyłem się języków, francuskiego, angielskiego, greki i łaciny. Klasztor potraktował przede wszystkim jako uczelnię, ale jako uczelnię świecką. Uczyłem się masę, ale pod względem duchowym, jak mi powiadano, byłem nadal durny. Wszystkie cnoty zakonne: posłuszeństwo, pokora, poddanie się woli Bożej, patrzyły na mnie z rozpaczą, kiedy ja nigdy niesyty nauki i czytania wciąż krążyłem koło książek, Boga poza nimi nie widząc w myślach, ani bliźnich na ziemi. Do głowy mi zupełnie nie przychodziło, że gospodarzem domu, do którego przybyłem, jest ktoś taki, na którego w ogóle nie zwracam uwagi. Ktoś, do którego odzywam się tylko z grzeczności rano i wieczór, przez dzień cały nie myśląc o nim ani sekundy. Zwracano mi ze słodyczą, potem już ze zniecierpliwieniem i zgrozą uwagę, że kiedy już tu jestem, w klasztorze, winienem od czasu do czasu pomyśleć o Stwórcy, a nie tylko — powiedzmy — o Arystotelesie, Tacycie, Dekarcie czy Monteskiuszu. Ale mnie wabiły te ich głosy, ze sto chyba różnych im

\*) Artykuł wygłoszony przed mikrofonem radia krakowskiego, które rozpisalo wśród literatów krakowskich ankietę prelekcijną pt.: „Jak zostałem pisarzem?”.



STANISŁAW NAHLIK

# Eksperyment językowy Szwajcarii

Na ogół państwu odpowiada naród, przynależność państwowej — narodowości, a narodowości — język. Przecież dla Francuza czy Anglika przynależność państwa jest synonimem narodowości — nationalité, nationalité — i często nie podobna mu wprost wy tłumaczyć różnicy, jaką, powiedzmy, my między tymi dwoma pojęciami wyczuwamy. Gdy na terenie jednego państwa ma współżyć kilka narodowości i kilka języków, to jedna narodowość będzie silniejsza i liczniej reprezentowana, a jej język będzie dominował nad innymi. Skala tej przewagi może być bardzo rozmaita. Bywa, że język dominujący dąży do wyparcia innych. Bywa, że jest w stosunku do innych tylko uprzywilejowany, bądź formalnie — gdy jest jedynym oficjalnym językiem w urzędach i szkolnictwie, a inne toleruje się tylko jako języki, którymi posługuje się w życiu prywatnym — bądź faktycznie, gdy jest to jedyny język naprawdę wyrobiony, któremu inne, nie wyszedłszy ponad poziom gwar ludowych, nie mogą robić poważnej konkurencji. W wielu państwach znamy te najróżniejsze sposoby współżycia kilku języków. Rezultat jest z grubsza biorąc, taki sam: jeden język króluje, gdy inne czują się w większym lub mniejszym stopniu upośledzone. Antagonizm raz powstały trwa i przysparza coraz więcej trudności, zwłaszcza że prawie zawsze znajduje się jakiś usłużny sąsiad, który go mniej lub więcej dyskretnie podsycy.

Szwajcaria jest chyba jedynym krajem, w którym współżycie kilku języków ułożyło się bez żadnych prawie tarć. Ten udały eksperyment zasługuje na uważną analizę. Przejrzyjmy wprawdzie układ cyfrowy poszczególnych grup językowych. Grupa językowa niemiecka trochę ponad 70%, francuska trochę ponad 20%, włoska 6%, retycka 2%\*. Wydawałoby się pozornie, że wniosek jasny: jest większość niemiecka i trzy mniejszości. W rzeczywistości jednak grupa językowa niemiecka nie ma tych cech większości narodowościowej i językowej, właściwych innym krajom. Różne są tego przyczyny.

Przed wszystkim podział wyznaniowy, który w większości państw idzie równoległe z narodowościowo-językowym i często potęguje antagonizm niemal że do kwadratu, a który w Szwajcarii idzie nie obok, ale na poprzek podziału językowego. Ponieważ są też kantony dwujęzyczne lub dwuwyznaniowe, powstaje cała gama kombinacji. Są kantony francuskie — protestanckie (np. Genewa lub Vaud) i niemieckie — protestanckie (np. Zurych lub Bazylea). Ale są też francuskie — katolickie (Fryburg) i niemieckie — katolickie (np. Lucerna i okolica Jeziora Czterech Kantonów). Bywają kantony jednolite pod względem językowym a różnolite pod względem wyznaniowym (Appenzell) i przeciwnie, jednolite wyznaniowo, a różnolite językowo (Valais). To jest przyczyną, że dla celów wyznaniowych — w umysłowości tradycyjnej często silniejszych niż narodowościowe — ludność upatruje naturalnych sojuszników w grupach innego języka a tego samego wyznania, widząc antagonistów w grupach tego samego języka a innego wyznania. Dodajmy, że w Szwajcarii — ojczyźnie Kalwina i Zwingliego — antagonizmy wyznaniowe były nutą dominującą w życiu publicznym aż do połowy wieku XIX.

Drugie kryterium podziału, które w Szwajcarii idzie szczęśliwie nie obok, ale w poprzek podziału językowego, to podział społeczno-gospodarczy. By waja kraje, gdzie jeden język jest językiem panów czy mieszczan, a drugi językiem chłopów. Wtedy antagonizm społeczny zawierając przymierze z narodowościowym, potęguje znów do kwadratu jego nasilenie. W Szwajcarii i w tym wypadku nie ma żadnej współzależności. Są miasta francuskie (Genewa, Lozanna) i miasta niemieckie (Bern, Zurych, Bazylea). I są wieś tak niemieckie (Emmenthal czy wschodnia Szwajcaria), jak francuskie (Vaud). I są góry tak niemieckie (Urschweiz, Berner Oberland), jak francuskie (zachodnia część Valais).

Inny charakterystyczny moment: przy już zdawałoby się, dość rozproszkowanym podziale kraju na 22 kantony (plus 3 półkantony) nie każdy kanton jest zwartą jednostką językową. Jest bowiem kilka kantonów dwujęzycznych (Valais, Fryburg, Bern ze względu na francuskie Jura bernois), a nawet trójjęzyczne Grisons. Poza tym język Szwajcarów niemieckich też nie jest jednolity, ale rozbita na kilka znacznie się między sobą różniących dialektów.

Fróć bardzo starej, autochtonicznej grupy retyckiej — każda z pozostałych grup językowych ma swój odpowiednik w sąsiednim i to potężnym państwie. Niemniej wbrew te-

mu, z czym w analogicznych okolicznościach spotykamy się na innych terenach, u żadnej z grup nie ma poważniejszej tendencji do rozbitcia jednostki szwajcarskiej i połączenia się z macierzystą grupą językową. Wiele jest przyczyn tego osobliwego zjawiska.

Grupa niemiecka odszczepiła się od ogólnego pnia niemieckiego w walkach wyzwoleniczych, których tradycja do dziś jest najpiękniejszą i najchlubniejszą reminiscencją historyczną. Rozwój dziejowy pogłębiał jeszcze to rozszczepienie w miarę jak nad właściwymi Niemcami gęśniały coraz bardziej mroki prusactwa. Niemiecki kult ponurej, brutalnej siły nie imponował Szwajcarom, ani ich nie pociągał, przeciwnie, coraz bardziej ich oddalał od macierzystego niegdys państwa. Goethego i Schillera uznają Szwajcarzy niemieccy za „swoich“, ale już nie Wagnera ani Nietzschego. Już przed wojną — w miarę wzrostu hitlerowskich wpływów w Niemczech — rosła tu coraz bardziej niechęć, ba — wrogość nawet wobec nowego, ponurego ładu. Właściwy język niemiecki („hochdeutsch“) został zniechęcony — miejsce jego, nawet w sferach wykształconych, coraz wyjątkiej zaczął zajmować góralski dialekt (schwyzertütsch), dla kogoś, kto zna tylko literacką niemiecką, zupełnie prawie niezrozumiałą. I cudzoziemcy nagłe się sposzregli, że właśnie w Szwajcarii... niemieckiej nie mogą rozmówić się inaczej, jak po... francusku. To stanowisko społeczeństwa Szwajcarii niemieckiej okrzepło jeszcze w czasie wojny. Agresja niemiecka, pęd do panowania nad światem — w połączeniu z barbarzyńskim okrucieństwem metod okupacyjnych — stworzyła ze Szwajcarii niemieckiej zwarty blok proaliantki. Ostrożna polityka władz obawiających się zadzierania z potężnym sąsiadem tłumila jak mogła wszelkie zewnętrzne objawy tych poglądów, ale jednomyślna niemal — z nieznacznymi tylko wyjątkami — antyniemieckość Szwajcarów była dla każdego, kto przeżył wojnę w Szwajcarii, niewątpliwa.

Na innym tle kształtowała się odrębność Szwajcarii francuskiej. Tu główną rolę odegrał niewątpliwie moment wyznaniowy. Genewa była stolicą Kalwina, głównym gniazdem, nieledwie „Rzymem“ reformacji. Lozanna była to w konstelacji kalwińskiej gwiazda drugiej klasy. Zważywszy nietolerancję większości królów francuskich — stosunek tych gniazd kalwińskich do macierzy językowej musiał być niechętny. Wzmagala go zresztą wciąż liczebnie duża imigracja polityczno-wyznaniowa. Genewa czując się ośrodkiem zakazanych we Francji prądów, musiała — przy stałym i ciągłym związku z kulturą francuską, nie tylko zresztą biernym ale i czynnym — upierać się przy izolacji politycznej wobec państwa językowo macierzystego. A choć z czasem względy religijne osłabły, tyrania napoleońska ten separatyzm pogłębiła i po upadku Napoleona Genewa z ochotą przystąpiła do Związku Szwajcarskiego. I odtąd w nim trwa, jak i inne romańskie ośrodki kantonalne — bo związek ze Szwajcarią daje im nieporównanie lepszą pozycję niż ewentualne wcielenie do Francji. Czy w scentralizowanej Francji stutrydziestotysięczna Genewa i niespełna stutysięczna Lozanna, stolice suwerennych republik-kantonów, miałyby takie same znaczenie jak w Szwajcarii?

Podobny zapewne motyw utrzymuje też w łączności ze Szwajcarią grupę włoską. Niedługo, sui generis kolonia-condominium trzech najstarszych kantonów, klimatycznie, pejzażowo i kulturalnie związana z północną Lombardią, od reszty Szwajcarii przedzielona potężnym masywem górskim Gotthardu — włoska Szwajcaria nie wykazuje tendencji separatystycznych. Mały, ubogi Tessyn zgubiłby się i rozplynął w ramach państwa włoskiego, gdy w Szwajcarii jest kraikiem, o którego względy zabiegają wszyscy.

Zjawiskiem chyba jedynym w swoim rodzaju jest stosunek dominującej liczebnie grupy językowej niemieckiej wobec grup słabszych. Trudno go wprost niekiedy inaczej nazwać jak kokieterią. Gdziekolwiek się pojawiają Tessynczy i Retowie, cieszą się szczególnymi względami. To beniaminkowie. Jeśli zaś chodzi o Szwajcarów francuskich, trzykrotnie mniej licznych, to Szwajcarzy niemieccy nieustannie podkreślają, że uważają ich za najzupełniej sobie równych — Cała prawie Szwajcaria francuska jest zresztą krajem szczególnie bogatym, dobrze zagospodarowanym i rozwiniętym pod względem kulturalnym. Dość powiedzieć, że z siedmiu uniwersytetów szwajcarskich aż cztery mają tu swą siedzibę.

Stała troska Szwajcarów jest, by w najwyższej kolegiatnej magistraturze (rządzie), Radzie Związkowej, wszystkie grupy były reprezentowane harmonijnie, na czym Szwajcaria francuska, a jeszcze bardziej włoska, proporcjonalnie najlepiej wychodzą (grupa retycka miała dotąd raz tylko swego przed-

stawiciela w rządzie). Kluczowego stanowiska szefa Departamentu Politycznego (połączone funkcje resortu spraw zagranicznych i ważniejsze z zakresu polityki wewnętrznej) od przeszło ćwierćwiecza nie zajmował Szwajcar niemiecki. W obecnej wojnie wodzem naczelnym był lozańczyk.

Antagonizmom przeciwdziała ustawodawstwo językowe. Do władz związkowych można się zwracać w każdym z języków związkowych. Władza związkowa ma odpowiedzieć w języku strony. Natomiast każdy kanton urzęduje w swoim języku (lub językach) i strona obowiązana jest stosować się do języka lokalnego. Podobnie rzecz ma się w szkolnictwie. Językiem wykładowym jest zawsze język miejscowy. Przestrzega się tego nader rygorystycznie. W Genewie nie wolno założyć szkoły z językiem nauczania niemieckim, zaś w Zurychu z językiem wykładowym francuskim. Na pierwszy rzut oka może się to wydać dziwne, ale ma to głębokie uzasadnienie — Szwajcarzy nie chcą „mniejszości“. Genewczyk zamieszkały w Zurychu ma uważać za „swoją“ język niemiecki i w tym języku ma się uczyć jego dziecko. I przeciwnie, dla dziecka bazylejskiego, który ma posadę w Lozannie, językiem ojczystym ma być już język francuski. A że międzykantonalny ruch ludności jest bardzo żywy, dochodzi stopniowo do coraz większego wymieszania: są ludzie o nazwiskach francuskich, dla których językiem codziennym stał się niemiecki (a raczej: dialekt szwajcarsko-niemiecki) i przeciwnie, ludzie o nazwiskach niemieckich czy włoskich, których językiem ojczystym jest francuski.

Fakt ten kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo lingwistyczne i literackie, nad czym boleją niektórzy uczeni i puryści językowi.

## Andersowskie metody w literaturze

„Polska Wierna“ (pismo katolickie, wychodzące w Paryżu) z dnia 23 czerwca 1946 r. podaje w artykule „Przeciw Mickiewiczowi“ wstrząsającą wiadomość o kraju:

### „PRZECIW MICKIEWICZOWI“

„Mają być wydane w kraju dzieła Mickiewicza, pracuje nad tym specjalny komitet. Przedmowę napisał poeta reżimowy Julian Przyboś“.

Przytaczamy ją w całości:

„Wydajemy Mickiewicza. Wprawdzie nie można odmówić jego dziełom pewnych walorów artystycznych i zdrowych tendencji społecznych, jednak przestarzała forma o typie kataryniarskim, oparta na monotonna rytmicznej i naiwnych banalnych rymach, razić musi dzisiejszego czytelnika.“

W czasach, gdy do zadań literatury należy kształtowanie nowego człowieka, gdy masy domagają się innej postawy wobec rzeczywistości, a twórczość narodowa, czerpiąca swe soki z reformy rolnej, wyczyca nowe drogi, poezja przedwojenna w rodzaju mickiewiczowskiej musi być zwalczana jako objaw literackiego wstecznictwa.“

Z uwagi jednak na pewną dodatnią rolę, jaką odegrał Mickiewicz w dziejach literatury ojczystej, warto byłoby zachować niektóre jego utwory, nadając im wszakże bardziej współczesną, zrozumiałą i demokratyczną formę. Piszący te słowa pokusił się o próbę tego rodzaju przeróbki“.

Po czym „Polska Wierna“ dodaje z ubolewaniem:

„Nie przestaniemy się dziwić, że Polak może, i to właśnie obecnie, w czasie wielkiej narodowej niedoli, obniżyć znaczenie Mickiewicza, którego utwory — jak żadne inne w literaturze polskiej — wlewają w serca polskie wiarę w żywotność narodu i ułatwiają mu przetrwanie w czasach próby“.

Przyznajemy, że nie mniej od pp. redaktorów „Polskiej Wiernej“ czuliśmy się oburzeni bezceremonialnym potraktowaniem Mickiewicza przez „poetę reżimowego“, Juliana Przybosia — oburzeni do tego stopnia, że postanowiliśmy zbadać bliżej historię owej przedmowy. Kosztowało to nas wiele trudu, gdyż „Polska Wierna“ — wbrew dobremu obyczajom dziennikarskim — nie podaje źródła swych wiadomości.

Po długich dociekaniach udało się nam jednak odnaleźć informatora świątobliwych ojców redaktorów: jest nim wydawane we Włoszech pismo andersowskie „Życie Tygodnia“, które w numerze z 2 czerwca br., cytując ową przedmowę, podaje zarazem miejsce jej druku, a nawet — z niezwykłą u tych panów lojalnością — jej fotograficzną odbitkę. Ukazała się ona mianowicie w łódzkim tygodniku literacko-społecznym „Kuznica“.

Oto — powiedzmy sobie na ucho — ani ten szwajcarski język niemiecki, ani też szwajcarski francuski nie jest szczególnie ładny. Pełno jest w nich skażeń i wzajemnych zapożyczeń. „Ich insistiere“ zamiast „ich bestehe darauf“, albo „pressieren Sie sich nicht“, zamiast „beeilen Sie sich nicht“ i wiele, wiele innych wyrażen, które pewnie ranią ucho purysty niemieckiego. Albo słynne „Merci vielmals“ (wyrazu „danke“ niemal nie słyszy się w Szwajcarii). Albo „français fédéral“, pełne żywcem tłumaczonych z niemieckiego zawyżonych zwrotów, na które wzdryga się pewno umysł galicki. Ale cóż stąd, gdy na tym gruncie rośnie polityczna jedność i solidarność Szwajcarii, gdy krzepnie przez to i odporniej czterojęzyczny naród szwajcarski?

A krzepnie tak bardzo, że coraz bardziej unika jakichkolwiek aluzji do swej „francuskości“ czy „niemieckości“, o którą często niewtajemniczony cudzoziemiec zahaczy. Więc dla przestrogi każdemu, kto by do Szwajcarii miał jechać czy ze Szwajcarami rozmawiać, kładę na sercu jako pierwszą odpowiedź na pytanie „Jak stać się w Szwajcarii popularnym?“: Nie mów nigdy „Szwajcaria niemiecka“, lecz tylko „Szwajcaria alemańska“ („alémanique“ zamiast „allemande“). I nigdy „Szwajcaria francuska“, tylko „Szwajcaria romańska“ („romande“ zamiast „française“). A gdy skusi się powieść coś o Szwajcarii włoskiej, przypomnijcie sobie, że skupia się ona niemal wyłącznie w uroczym kantonie tessyńskim i mówcie o jego mieszkańcach po prostu „Tessinois“. Ta taktyka to pierwszy krok do zyskania sympatii i przyjaźni Szwajcarów, przyjaźni, która — gdy stają pierwsze lody — jest rzetelna i trwałą.

Stanisław Nahlik

W istocie, w jednym z numerów tego pisma odnajdujemy dokładny tekst owej przedmowy — z małą tylko różnicą: autorem jej nie jest bowiem poeta Julian Przyboś, lecz znany satyryk Jan Brzechwa, a tytuł jej nie brzmi „Przedmowa do dzieł Adama Mickiewicza“, lecz „Humor i satyra — dział parodij literackich“.

Sprytni redaktorzy „Życia Tygodnia“ z humorystycznego kawału Brzechwy zrobili poważne studium Przybosia. Jan Brzechwa wykipił wulgarnie metody krytyki, niby marksistowskiej, wykpił je w piśmie właśnie marksistowskim, przypisując to żartobliwie Julianowi Przybosiu, znakomitemu poecie i autorowi entuzjastycznych studiów o Mickiewiczu. Zabawa — rzekłbyś — niewinna! A jednak znaleźli się ludzie, którzy nawet ten żart usiłują wykorzystać.

Panowie z „Życia Tygodnia“ pozostają w dziedzinie literatury tym samym, czym są na terenie polityki; nie przebiegającymi w środkach awanturnikami. Oszustwa przez nich popełniane dawno zresztą przestały nas dziwić — nie może nas jednak nie dziwić święta naiwność ojców redaktorów „Polski Wiernej“, którzy — chcemy przypuścić — w dobrej wierze przedrukowują igrzastwa fałszywostw andersowskich, nie zadając sobie trudu sprawdzenia stanu faktycznego.

as

Nowości wydawnicze „WIEDZY“



Do nabycia we wszystkich księgarniach  
Cena zł 250

\* Tak chyba należy nazwać po polsku ten język, który niedawno dopiero otrzymał równoprawnie z innymi, a który bywa też nazywany „latynskim“ lub „reto romańskim“ (po niemiecku zwykle „rätisch“, po francusku „romanche“).





KRONIKA ILUSTROWANA

# Droga poety\*



**STEFAN JARACZ**  
po opuszczeniu obozu w Oświęcimiu



**IGNACY MATUSZEWSKI**  
polityk i publicysta, jeden z czołowych ideologów sanacji, zmarł nagle w Nowym Jorku.



**ALEKSANDER BŁOK**  
W Związku Radzieckim obchodzą uroczystość 25 rocznicę śmierci tego wielkiego poety (7 sierpnia br.)



**FELIKS DZIERŻYŃSKI**  
wielki rewolucjonista, zmarł w Moskwie przed dwudziestu laty

Estetyzujący bałwochwalca poezji, odurzony urokami klasycznego piękna miłośnik grecko-rzymskiej starożytności, zaciekle czytelnik ateńskich tragików, wielbiciel Szekspira i Byrona, Kochanowskiego i Słowackiego, fantasta najchętniej krążący myślą nad rozległymi dziedzinami sztuki, rozegzaltowany, jak gdyby nie z tego świata, takim się ukazał przed dwudziestu laty naszym oczom Lucjan Szenwald, podówczas młodzieńki student warszawskiego uniwersytetu.

Wybitnie zdolniony, o niesłychanie żywej wyobraźni, zdumiewającej pamięci, z nieprawdopodobną łatwością przyswajał sobie obce języki; jako siedemnastoletni młodzieniaszek czytał swobodnie Homera i Eschylosa z greckiego oryginału, Horacego godzinami recytował z pamięci, znał współczesnych poetów rosyjskich, nie gardził Goethem, Schillerem i Heinem, na gwałt uczył się angielskiego, aby równie swobodnie, jak Morstina czy Sepa-Szarzyńskiego, móc czytać Szekspira, Browninga lub Shelleya, pięknie grał na fortepianie, na okarynie wygwizdywał symfonie Beethovena, wielbił Bacha, jako piętnastoletni uczeń gimnazjum debiutował w „Skamandrze“ drukując swoje pierwsze poetyckie utwory — słowem „cudowne dziecko“.

W „Kwadrydze“ — czasopiśmie poetyckim i zgrupowanym wokół niego zespole warszawskiej młodzieży literackiej, do którego w końcu 1926 roku zgłosił swój akces — uważany był za fenomenalnie utalentowanego pięknoducha. Kiedy koledzy jego i przyjaciele — Władysław Sebyła, Słobodnik, Maliszewski — rzucali hasło „sztuki społecznej“, burzyli się przeciw krzywdzie społecznej, pieścili w myślach marzenia o innej, lepszej organizacji życia zbiorowego, Szenwald pasjonował się przekładem „Pana Tadeusza“ na język Homera, lub zachłystywał się wierszami Lesmiana.

Dziecko warszawskiego mieszczaństwa, zamężnej sfery kupieckiej, był naówczas doskonałym wyrazem kulturalnym swojego środowiska.

Jako poeta ulegał bezpośredniemu wpływowi „Skamandra“, wielbił Tuwima czy Słonimskiego, w których cieniu stawiał pierwsze nieśmiałe kroki debiutanta, żył ówczesną atmosferą artystyczną mieszczańskiego otoczenia, podniecał swoją imaginacją egzotycznymi obrazami twórczości J. A. Rimbauda; entuzjastyczny słuchacz wykładów prof. Tadeusza Zielińskiego, pozostawał poza sprawami ówczesnego polskiego życia.

Najdoskonalszym wyrazem tej postawy są takie utwory jak „Kuchnia mojej matki“ czy „Ku czci filologa“ — dojrzałe zamknięcie tamtego okresu.

Warunki bytowania, w jakich się znalazł przedwcześnie utraciwszy rodziców, wpływ nowego otoczenia złożonego w większości z synów robotniczych i chłopskich — w „Kwadrydze“, przede wszystkim zaś nacisk atmosfery czasu — lat 1926—1930 w Polsce, nie mogły pozostać bez wpływu na młodocianą, wrażliwą umysł poety.

Proces pauperyzacji mieszczaństwa w Polsce, narastanie faszystowskich nastrojów w polskiej burżuazji i części mieszczańskiej inteligencji, obok tego równoległe wzmaganie się społeczno-radykalnych, rewolucyjnych tendencji w masach, od dołu, deklasowanie się i radykalizacja mieszczańskiej młodzieży — wszystko to musiało wywrzeć wpływ na świadomość Lucjana Szenwalda.

W roku 1929 publikuje poeta w „Kwadrydze“ pierwszy wiersz, będący świadectwem, jakże jednak wątpliwym jeszcze, podbijania jego umysłu i wrażliwości przez inne, nowe nastroje i inne światy wyobrażeń. „Rewolucjonista“ — to jeszcze nadal utwór Szenwalda-estety, wciąż uporczywie poszukującego piękna w tych samych co dotychczas źródłach ściśle artystycznych możliwości. Stąd w dalszym ciągu sztuczność oderwanego, koturnowego patosu, stąd to nie opuszczające go wciąż egzaltowanie się samymi słowami, samymi obrazami, feeria samego czystego poetyckiego żywiołu. Ale wyłom został już dokonany, do świadomości poety wkraczają nowe sprawy.

Przychodzi drugi z kolei okres życia i twórczości Szenwalda.

Z tym samym młodzieńczym temperamentem, z tą samą wciąż nie gasnącą pasją, z jaką dotychczas wdierał się w światy oderwanego piękna, rzuca się teraz Lucjan w wir spraw i konkretnych zagadnień życia. Z Szenwalda — pięknoducha, miłośnika i bałwochwalcy artystowskiego piękna, z Szenwalda — żyjącego zamkniętym życiem własnej wyobraźni, syconym zaledwie tylko dziełami sztuki — wyrasta inny Szenwald, Szenwald-bojownik o nowe wartości społeczne i etyczne zbiorowości ludzkiej.

Teraz już nie na kartach „Iliady“ szuka poeta patosu i nie u Eschylosa czy Eurypidea dramatycznych powikłań, ale dramat i pa-

tos dostrzega w otaczającym go bezpośrednio świecie, wielką poezję w zmaganiach się swojego czasu.

Walka społeczna i polityczna, walka o inne, piękniejsze, słusniejsze, rozsądniejsze, a za-



Lucjan Szenwald

tem i moralniejsze zasady życia zbiorowego porywa wrażliwego, czulego na krzywdę, na niesprawiedliwość poetę — bierze on w niej bezpośredni udział, jako artysta szuka dla niej najwłaściwszego wyrazu.

W atmosferze tej sprawy i tych zagadnień tworzy Szenwald aż do wybuchu wojny. Jeszcze tłumaczy Browninga i Shelleya, ale już

u Shelleya szuka i znajduje takie wiersze, które by odpowiadały nastrojom i datom — ówczesnym tęsknotom jego i jego czasu. Sam pisze wiersze, w których niejednokrotnie rezygnuje z artystycznych ambicji na rzecz do- różnych potrzeb agitacyjnych potrzeb ówczesnej. Popelnia niejedną błąd, ale i nie ustaje w poszukiwaniu — w poetyckim wysiłku. Muzę mu się efektowna, acz fałszywa, koncepcja „mlekania młodego wina w stare dzbany“. Pisze wiersz „Do uświadomionej robotnicy“ na wzór skomplikowanej formalnie, w myślniej petrarkowskiej „canzony“. Zwraca się ku epice, pracuje nad nowym rodzajem poematu — noweli. Stąd jego „Rower“ Podejmując pracę w zakresie bardziej rozbudowanych form — tworzy „Scenę przy strumieniu“, poemat kształtowany, co jest cechą szczególną jego literackiej kultury, na rozlicznych, niedościgniętych wzorach wielkiej przeszłości.

Nie ustaje w walce i twórczym wysiłku.

Dojrzewa w wojnie. Rzucony przez los na „gościnną ziemię radziecką“, zgodnie ze swoją wewnętrzną postawą bojownika staje w szeregach „narodowego polskiego wojska“.

Żołnierz Kościuszkowskiej Dywizji. chce być i zostaje piewą żołnierskiego trudu, żołnierskiej walki i chwały. „Kronikarz Dywizji“ wyrasta na poetę-patriotę, walce o Polskę i o demokrację poświęcając swoje pióro i życie.

Wierny Dywizji i jako poeta i jako żołnierz, ginie tragiczną śmiercią na progu wolnej Ojczyzny, na żołnierskim posterunku, zdobywając sobie jako człowiek w naszej pamięci taką pozycję jak Jakub Jasiński, Cyprian Godebski, Seweryn Goszczyński, czy Mieczysław Romanowski — pozycję poety-bojownika o nieśmiertelne idee wolności, równości i braterstwa, poety-żołnierza.

St. R. Dobrowolski

## O roczniku nauki polskiej

Konwersatorium Naukoznawcze przy Towarzystwie Asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego i redakcja „Życia Nauki“ podjęły inicjatywę założenia kartoteki uczonych polskich oraz towarzystw i instytucji naukowych, która ma być podstawą rocznika nauki polskiej, wzorowanego na podobnych wydawnictwach obcych w rodzaju „Minerva Jahrbuch“ lub „Index Generalis“. Inicjatywa ta znalazła uznanie i poparcie Polskiej Akademii Umiejętności i Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Redakcję rocznika objął dr Bolesław Olszewicz, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego. Kartotek podobnych ma Wielka Brytania dwie, jeśli nie więcej — „Scientific Research Register“ i „Universities Register“. Mają je również Stany Zjednoczone A. P. i inne kraje. W Polsce kartoteki pracowników naukowych, stanowiącej nieocenioną podstawę do wszelkich zestawień personalnego stanu nauki polskiej we wszystkich dziedzinach oraz do opracowań naukowych, dotychczas nie ma. Trudności związane ze zorganizowaniem tego przedsięwzięcia i zebraniem materiałów są ogromne, lecz mamy nadzieję, że działalność nasza spotka się ze zrozumieniem całego polskiego świata naukowego, który nie odmówi nam swego po-

parcia i ułatwi pracę. Już w najbliższym czasie rozpoczniemy rozsyłanie kwestionariuszy do wykładowców i sił pomocniczych szkół wyższych, gdyż zebranie pewnych wiadomości personalnych możliwe jest jedynie przez ankietę.

Wszystkie towarzystwa naukowe, instytucje badawcze, archiwa, biblioteki, muzea oraz naukowe instytucje wydawnicze prosimy o nadsyłanie nam swych adresów, abyśmy mogli w swoim czasie rozesać im kwestionariusze do wypełnienia. Instytucje naukowe, zatrudniające pracowników naukowych nie pracujących na żadnej uczelni wyższej, prosimy o podawanie ich nazwisk.

Jest rzeczą zrozumiałą, że projektowane przez nas kartoteki i wydawnictwa, których celowość i użyteczność nie ulega najmniejszej wątpliwości, mogą być szczegółowo i wyczerpująco jedynie przy czynnej współpracy wszystkich polskich uczonych i instytucji naukowych. Toteż o współpracę tę najmocniej prosimy.

Konwersatorium Naukoznawcze, Kraków, ul. Piłsudskiego 13/2.

Redakcja „Życia Nauki“, Kraków, ul. Szopena 1/7.

## Nieudała próba

Z dużą sympatią bierzemy do ręki tom wierszy literatów polskich na Opolszczyźnie. Uprawiają nas do tego ambitne słowa przedmowy, które mówią m. i. o zamierzeniach młodych autorów „stworzenia w Opolu ośrodka wydawniczego poświęconego zagadnieniom wiedzy i sztuki“. Wlemy o tym doskonale, jak bardzo tego rodzaju ognisko kulturalne jest dzisiaj potrzebne właśnie na terenie Ziemi Odzyskanych. Jeżeli zagospodarowywanie tych ziem, ich organizacja materialna, mimo wielu przeszkód i zahamowań postępuje niewątpliwie naprzód — to sprawa rozwoju życia umysłowego i kulturalnego przedstawia tam wciąż jeszcze bardzo wiele do życzenia. Surowość i prymitywizm duchowy czasów pionierskich są tu do pewnego stopnia zrozumiałe, ale przetamianie ich jest konieczne, jeżeli ma nastąpić prawdziwy rozwój. Toteż wszelkim szczerym próbom organizacji życia kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych należy z góry przyklasnąć.

Niestety, omawiane wydawnictwo nie może być uważane za tego rodzaju próbę. Nie można organizować życia kulturalnego i umysłowego, rozpoczynając od — złej poezji. Wiersze zamieszczone w zbiorze są wzorowymi przykładami martwej i jałowej retoryki, frazeologii bez pokrycia, która zastępuje brak inspiracji i istotnej potrzeby twórczej. Poezja młodych autorów jest bardzo stara, staroświątą najbardziej użytych konwencji. Szablony, przy których pomocy autorowie wypisują swoje utwory, są tak wyraźne i jednakowe, że gdyby po-

umieszczać poszczególne wiersze jednego autora pod nazwiskiem drugiego, albo w strofy jednego utworu wmieścić takie lub owakie strofy innego — stałoby się to bez żadnej szkody dla całości. Rehabilitować w pewnym sensie prymityw artystyczny mógłby żywy charakter dokumentarny, który w ten lub inny sposób odzwierciedlałby znaczenie dokonywających się na tamtych terenach przemian. Ale z Ziemiach Zachodnimi, z problematyką dnia dzisiejszego mają wiersze te chyba tylko tyle wspólnego, że miejsce i data ich wydania brzmi: „Opole 1945“. Natomiast najczęstszym motywem poezji autorów jest wciąż jeszcze Warszawa i to ta z piosenki Harrisa.

„Stworzenie w Opolu ośrodka wydawniczego poświęconego zagadnieniom wiedzy i sztuki“ jest bardzo wskazane i pochwały godne. Ale czy nie lepiej byłoby — przynajmniej na razie — rozpocząć od Kochanowskiego, Krasińskiego, Mickiewicza albo Kraszewskiego czy Korzeniowskiego?

Henryk Vogler

Zaprenumerować „ODRODZENIE“

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna

120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

\* W związku z przypadającą w dniu 22 sierpnia br. drugą rocznicą śmierci Lucjana Szenwalda, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“ przygotowuje wydanie „Utworów zebranych“ poety ze wstępem Władysława Bieńkowskiego, St. R. Dobrowolskiego i Seweryna Pollaka.

\* Zbiór poezji literatów polskich na Opolszczyźnie (Stefan Skorupiński, Maria Markowska-Skobińska, Karol Kaschnitz, Tadeusz Michala). Opole, 1945.

# Korespondencja

## NIEPOROZUMIENIA

Do redaktora „Odrodzenia”

W tygodniku „Pobudka”, w numerze poświęconym rocznicy 1 Maja w wyzwolonej Polsce, przeczytałem między innymi artykuł „Nasz dorobek wojskowy z okresu okupacji”. W pewnym miejscu autor pisze:

„Mało się u nas pisało dotychczas o tej wspaniałej epopei walki z wrogiem niemieckim we wrześniu 1939 r., w obronie Warszawy, o Gdynińskich Kosynierach pod wodzą tow. Kazimierza Rusinka, gdzie pępekowcy i robotnicy Gdyni uzbrojeni w kosy szli na czołgi niemieckie”.

Śmiem twierdzić, że jeśli się mało pisało o bohaterstwie, a w rzeczywistości o brawurze Gdynińskich Kosynierów, to stało się dobrze. W wysuwaniu bowiem i podkreślaniu tego epizodu z pierwszych chwil wojny tkwi poważne nieporozumienie. Nieporozumienie spowodowane sugestią utrwalonego w naszej historii epizodu Insurekcji, epizodu, który — przynajmniej — miał duże znaczenie moralne w czasie długotrwałej niewoli.

Zbyt pochopnie jednak i, że tak powiem, zbyt torsowne doszukiwanie się przez współczesnych demokratów „genealogii teraźniejszości” w pewnych faktach z przeszłości, doprowadziło do omawianym wypadku do tego, że mimo kolosalnych zmian jakie zaszły w sposobach wojowania, zmian spowodowanych rozwojem przemysłowo-technicznym, chciano by naśladować, czy powtórzyć dawne prymitywne technicznie posunięcia militarne, dlatego tylko, że były bohaterkie i zwycięskie. A ponieważ były bohaterkie i zwycięskie, więc stał latwa i szkodliwa sugestią o wyższości kosy nad armatą, a nawet czołgiem...

A przeciw występowaniu Kosynierów Gdynińskich, jak również brawurze w innych wypadkach szarży naszej kawalerii na czołgi, zwycięstwa podobnego racławickiemu nie powtórzyły.

Przynajmniej trzeba, nie szydząc z patriotyzmu i ofiarności Kosynierów Gdynińskich, że ten epizod jest dla nas — mówiąc łagodnie — wysoce żenujący w oczach Europy, gdyż nowoczesnej technice uświadamiały przeciwstawiać prymityw nieomal równy pierwotnym ludom Afryki.

A tymczasem wiemy, że trzeba było technicznych zasobów przewyższających nie tylko ilościowo, ale jakościowo zasoby barbarzyńców, aby wojnę wygrać.

Stwierdzić też musimy, że na nas Polaków ciąży jeszcze silnie tradycja „człowieka poczciwego”, o której z powodu „Pana Tadeusza” pisał przed laty w swej pierwszej książce „Zaraza w Grenadzie” Jan Nepomucen Miller i którego też słowami pozwolę sobie refleksję moją zakończyć.

„Jest to jednak ten szczególny rodzaj poczciwości, którą by rozszarżonym żelazem wypalić należało. Ta poczciwość, polegająca na odęgnięciu od się od Gomory świata, na zatrzaśnięciu drzwi od „Europy halasów”, konsekwentnie przeprowadzona, podkreśla wyższość „noża Wojkiewskiego” nad rewolwerem systemu Browninga, litewskiej taradajki nad aeroplanem. Czy to jednak w życiu dziejowym narodu doprowadzić może do rozrostu lub choćby do ostania się, to już inna kwestia — na którą rzekomo i tkliwiość romantyczna zarzuca zastaną jako na sprawę zbyt „bolesną”. Na gazy trujące Niemcom, flicę powietrzną Rosji posłemy Różeckę, którą raz już przecież dokonał programowego zwycięstwa szablą nad karabinem, rozciągając „kawalera trzech krzyżyków i siedmiu orderów”.

P. S. Aby nie powodować, że tak powiem, wtórnych nieporozumień, wyjaśniam, że cytując słownie Millera nie miałem zamiaru agitować za „trzęcia wojną”, której jestem przeciwnikiem.

Czesław Garda (Łódź)

## SPÓZNIENI

Do redaktora „Odrodzenia”

Zupełnie przypadkowo wpadł mi do rąk wycinek ze „Sunday News” z marca 1946. Wyczytałem tam o wielkiej akcji pomocy dla Żydów w Europie z okazji dwuletniej rocznicy spalenia 3,860 Żydów w komorach gazowych „of Birkenau-Osweim”. Rocznicą nieco późniejszą, bo w marcu 1944 liczbą 3,860 wydawała się już tragicznie mała, tak w odniesieniu do Żydów jak innych narodów, które chłonęły krematoria Oświęcimia.

Również spóźnionym nomenem jest notatka wyjaśniająca, że Oświęcim leży w Czeskosłowacji. Szkoda, że nie wiedział o niej poseł Uhlirz — młaby podstać naukową do rozszerzenia swoich pretensji terytorialnych.

Spóźniona jest też moja korespondencja, bo to mamy sierpień, a piszę o tym, co działo się w marcu.

Ale po staremu najbardziej spóźniona jest nasza propaganda za granicą, jeżeli w okresie procesu noymberskiego ton prasy amerykańskiej jest tak niewinnie niewinny.

Michał Lawina (Szczecin)

## CZY NAPRAWDĘ MOMENT OSOBISTY?

Do redaktora „Odrodzenia”

Artykuł mój w lubelskim „Zdroju” pt. „Megalomania a interes społeczeństwa” odnoszony został w „Kuznicy” przez „ph” a w „Odrodzeniu” przez „Jaszczka”, przy czym obaj autorzy, omawiający go w „Przebiegu” i „Przebiegu”, zignorowały zarówno fakty, jak postulaty w tym artykule zawarte, uświadomiły sobie zadanie oceniając go jedynie jako wpływ „osobistych zastrzeżeń” (ph) lub „moment osobisty” zazwyczaj wynikający z obraźliwej na świat i ludzi niemości twórcy (Jaszczka). Pragnę sprostać, że artykuł ów wypływał naprawdę z troski o dobro i poziom naszego zapamiętania, a równocześnie o interes społeczny przeciętnych czytelników, którzy byłby radzi dowiadywać się z czasopiśmie literackich o wydarzeniach literackich w kraju, a dowiadują się jedynie o ich wykrąskach.

Sens mego artykułu był jasny, liczne przykłady wyraził. Jeżeli nie podałem nazwisk i nazw, to jedynie dlatego, by właśnie nie nadawać żadnych cech osobistych artykułowi, który w moim zamierze miał się stać artykułem dyskusyjnym na szerokiej planie społecznej życia literackiego kraju. Wyłumaczyłem to dobitnie w owym artykule, dlatego co najmniej dziwne wydaje mi się zadanie „ph”, by Związek Zawodowy Literatów domagał się podania faktów. Oczywiście, podam je, gdyby zaszła tego konieczność.

Co do zarzutu jakiejś „niemości twórczej”, wysuniętego przez Jaszczkę, przynajmniej się, że nie wiem, o co chodzi. Nie choruję na taką chorobę i za jej obław chyba Jaszczka, mój dobry znajomy, nie uważa mojego wycofania się, od kilku miesięcy, z pracy publicystycznej i dziennikarskiej — wycofania, jak Jaszczka dobrze wie, spowodowanego przez inne moim zdaniem, stojące w większości wypadków poza mną. Pracuję obecnie prawie wyłącznie literacko, drukując niekiedy wiersze, fraszki i satyry, artykuły i felietony w kilkunastu pismach i czasopiśmiech w Krakowie, Łodzi, Katowicach, Poznaniu, Lublinie. Do końca br. ukazuje się kilkanaście moich książek, w tym powieść dla młodzieży, nad którą twórczo „chodzi Jaszczka”, który chyba przecież nie przyspuszcza, że jeżeli ktoś nie drukuje w „Odrodzeniu” to jest chory?

Jaszczka domaga się ode mnie, bym „powiedział otwarcie”, o co mi idzie i oświadcza, że „półki tego nie uznaję, nawet jeżeli skrzywił się z niesmacznie”. Nie ma powodu się krzywić, wystarczą po prostu dokładnie przeczytać inkryminowany artykuł w „Zdroju”. Wyłuszczyłem w nim bardzo dobitnie w kilkadziesiąt liniach druku, o co mi idzie,

Doдам, że na dziewięć czy dziesięć przykładów, przytoczonych w owym artykule, jedynie jeden zacytowany jest z własnych mych przeżyć, inne dotyczą pisarzy nie mających przeważnie ze mną nawet kontaktów osobistych.

A więc nie moment osobisty! Czuję się doskonale, piszę, mam zamówienia, którym natarczywie nie mogę, mój tomik „Strzępy okupacji” rozchodzi się bardzo dobrze, chociaż recenzje kapla z rzadka, to, co piszę, podoba się czytelnikom, chociaż nie zawsze podoba się krytykom — ale przecież piszę się dla czytelnika, nie dla krytyka. Czy naprawdę koleżdy „ph” i „Jaszczka” nie mogą zrozumieć, że krytykę rzeczywistości na jakimś odcinku życia powodować mogą pełniejsze i głębsze przyczyny niż nikogo nie interesujące sprawy osobiste?

Witold Zechenter (Kraków)

## OŚWIADCZENIE

Do redaktora „Odrodzenia”

W odpowiedzi na list p. Kazimierza Nartowskiego zamieszczonej w numerze 31 (88) „Odrodzenia” stwierdzam co następuje:

1. Nieprawdą jest, jakobym kiedykolwiek należał do grupy, która wydała Goetla, Skińskiego i Burdeckiego, natomiast prawdą jest, że z osobami wyżej wymienionymi nigdy nie współpracowałem.

2. Nie wiem, na jakiej podstawie p. Nartowski śmiał nazwać mnie zdrajcą i hołdownikiem Hitlera, i w związku z tym twierdzeniem wyzywam go do przeprowadzenia dowodu prawdy przed sądem Związku Zawodowego Literatów, któremu przekazuję sprawę.

3. Utożsamienie mnie z p. Pawłem Jasienicą jest zaszczepione, ale nieprawdziwe, ponieważ nigdy tego pseudonimu nie używałem.

4. Pragnę publicznie zapytać p. Nartowskiego, kiedy to i gdzie pięcioletniemu swastyką w czasach przedwojennych bo aczkolwiek zarzut ten brzmi humorystycznie, będzie musiał być uzasadniony podobnie jak inne.

5. Przy sposobności pozwolę sobie zauważyć, że ani moja przynależność do grupy B. Piaseckiego w Polsce przedwrześniowej, ani dawna współpraca w tygodniku „Prosto z Mostu” nie może mnie a priori dyskwalifikować w czasach gdy środowisko skupione wokół pisma „Dziś i Jutro” istnieje i działa legalnie a rzekomi „faszyści” z „Prosto z Mostu” raz po raz drukują w „Przekroju” i „Szpilkach”, nie narazeni na ataki z czyjejkolwiek strony.

Mam nadzieję, że sąd koleżeńskich w czasie jak najkrótszym zechce rozpatrzyć zarzuty zawarte w liście p. Nartowskiego i udzielić mi satysfakcji moralnej, zwłaszcza że sprawa moja była już rozpatrywana przez władzę związkową, które stwierdziły brak istnienia jakiegokolwiek faktów obciążających mnie jako człowieka i pisarza.

Alfred Łaszowski (Jelenia Góra)

## NIE „KRAWĘDZ”, ALE „DOBA”

Do redaktora „Odrodzenia”

W nr. 31 (88) „Odrodzenia” ukazał się wiersz mój opatrzony mylnym tytułem „Krawędź”, co zmieniła całkowicie interpretację wiersza. Właściwy tytuł powinien brzmieć „Doba”.

Julia Hartwig (Łódź)

# W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH\*)

## Ankieta „Odrodzenia”

Rajmund Bulawski: Moje obecne prace idą w dwu kierunkach:

Bodajże większą część mego czasu poświęcam zagadnieniom ziem zachodnich, przedstawiając wyniki mych badań i rozmyślań na kolejnych sesjach Rady Naukowej dla Zagadnień Ziemi Odzyskanych. Podjąłem się ostatnio nowej próby obliczenia nadmiaru ludności rolniczej na starych ziemiach polskich, a to w celu uzyskania materiałów orientacyjnych co do wielkości kontyngentów ludnościowych dla zasiedlenia terytoriów nowoprzylączonych, którym rozporządzamy.

Niezależnie od tego kontynuuję swe studia z zakresu metodologii statystycznej. Spora książka pt. „Metoda porównawcza w statystyce” czeka od roku na wydawcę. W przygotowaniu jest dalsza praca pt. „Elementy zbiorowości statystycznych”. W pracach tych przeciwestawiam się jedностronności tzw. statystyki matematycznej, traktującej statystykę jako pewien dział wyższej matematyki i staram się teorię statystyki zwiazać ściśle z logiką. Tuszę, że w tym ujęciu statystyka odzyskuje swe znaczenie jako ogólna metoda doświadczalnego badania, nie zacięsniona do rachunku prawdopodobieństwa.

Ks. Szczęsny Dettloff: Do jesieni rb. bede miał gotową wielką monografię o twórczości Wita Stosza, której wygotowany już przed wojną maszynopis zniszczył okupant. Poza tym zamierzam wydać pracę o dziejach gotyckiego i barokowego mauzoleum św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej, do której mam zebrany bogaty materiał archiwalny. W przyszłości mam zamiar opracować wyczerpująco dzieła szkoły i naśladowców Wita Stosza.

Janusz Domaniewski: Pierwsze pytanie ankiety brzmi: Czy i jaką książkę Pan wydaje? To pierwsze pytanie winno moim zdaniem brzmieć raczej tak: Jakie pańskie książki czekają na wydanie? Wiadomo jest, że firmy wydawnicze są wprost przytłoczone nagromadzonymi rękopisami, których nie mogą wydać z powodu braku pieniędzy.

Otóż w czasie okupacji niemieckiej napisałem cztery książki. Rękopisy dwóch (prócz tego różne notatki i materiały) miałem przechowane w Archiwum Miejskim. Te splonęły w czasie pożaru Warszawy, po powstaniu. Dwa inne rękopisy ocalały. Mianowicie: „Życie ptaków” i „Monografia ptaków lownych Europy”. Książki te, pisane dla firmy wydawniczej „Trzaska, Ewert i Michalski” ocalały. Do druku mogłyby pójść choćby jutro, kiedyś pójdą, nie wiem. Nie wie również wydawca, któremu na wydrukowaniu zależy bodajże więcej niż mnie, bowiem honorarium autorskie zostało już całkowicie wypłacone. Na wydanie książek brak jednak pieniędzy.

Brak również pieniędzy na następne wydanie mego „Podręcznika zoologii dla szkół akademickich” oraz „Zarysu geografii zwierząt”, który jest również używany jako podręcznik w szkołach akademickich.

Nad czym pracuję obecnie? Kończę pisać niewielką książeczkę o Benedyckie Dybowskiem. Książeczka ta jest przeznaczona dla młodzieży. Została zamówiona przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Rękopis będzie gotów do druku za parę tygodni.

W początkach lipca zawarłem umowę z „Wiedzą”. Mam dla niej napisać książkę o Mikołaju Przewalskim i o jego wspaniałych podróżach po Azji.

Książka, która obejmie 20-30 arkuszy druku, będzie gotowa w pierwszej połowie roku przyszłego i mam nadzieję, że najdalej jesienią przyszłego roku ukaże się na półkach księgarskich.

Jakie są moje plany pisarskie i wydawnicze na przyszłość? Trudno mi je tu dokładnie wyliczać. Zależy to zbyt wiele miejsca. Zamierzam bowiem być 105 lat, i wciąż jestem młody, więc plany mam rozległe.

Przed wszystkim chciałbym w ciągu najbliższych dwu lat przygotować do druku „Wyspe tajemnicza”. Ma to być opis wyprawy naukowej do wnętrza Nowej Gwinea, która jest jednym z najmniej znanych zakątków ziemi. Nie dotarła tam dotychczas żadna wyprawa naukowa. Nie byłam i ja. Toteż przed napisaniem książki musiałbym taką wyprawę zorganizować i doprowadzić do skutku. Ta moja „Wyspa tajemnicza” ma być bowiem rzeczowistym opisem podróży a nie fantazją pisarza. Pisząc książkę pod tym tytułem nie mógłbym fantazjować, popełniłbym bowiem plagiat „tytułarny” (J. Verne).

Tadeusz Dominik: W obecnych warunkach o jakiegokolwiek obszerniejszej pracy (książce) nie może być mowy, bo nasze prace naukowe (1/2-2 arkuszy druku) idą od paru lat nie wydane. Materiał się starzeje i inne narody nas dystansują.

Obecnie pracuję nad mykorrhizą drzew leśnych i owocowych, oraz nad możliwościami zastosowania wiadomości o tym współżyciu korzeni drzew z grzybami w nawożeniu sadów. Poza tym pracuję nad planowaniem zalesień (dolesień, uzupełnień) na terenie Pomorza Zachodniego i Wielkopolski. Dwie mapy na ten temat sporządzone zostały przejęte przez ośrodek R. U. P. P.

W najbliższej przyszłości chciałbym wydać za ległą pracę, ważną dla planowania kraju, gdyż wnosi nowy schemat do badań leśniczych pt. „Badania geobotaniczne na terenie Regionalnego Cmentarza w Poznaniu”.

Antoni Gólabiew: W czasie wojny napisałem dwa tomy powieści pt. „Bolesław Chrobry” i mam na dzieje, że ujrzę je w końcu w druku. Obecnie pracuję niby nad dalszym jej ciągiem, a w rzeczywistości zarabiam na chleb publicystyką. Prócz owej powieści mam gotowy tom nowel — oczywiście związanych z wojną (te tematykę musi każdy autor przechorować — zbyt mocno weszła nam w nerwy i wy-

braźnie). Plany? Chyba równie szerokie, jak każdego literata, ale realizacja ich zależy w dużej mierze od warunków zewnętrznych czyli od tzw. stabilizacji życia. Niestety, stabilizacja ta jest dotychczas na tyle chwiejna, że trudno mówić o spokojnej pracy.

Kazimierz Jeżewska: 1. Co wydaję teraz? „Wiersze niemodne” u E. Kuthana. 2. Nad czym pracuję? Nad odbudową zniszczonych części tych prac przedwojennych i wojennych, które pozostały w piwnicy domu, spalonego podczas powstania, oraz nad sztuką teatralną o polskim wybrzeżu pt. „Helga”. 3. Jak mam plany pisarskie i wydawnicze? Uzupełnić i skrócić dwie pisane w czasie wojny powieści: „Kregi na wodzie” i „Syn Łucji”. Odbudować zniszczone w rękopisie 2 pieśni z poematu pt. „Joanna”. Wydać: „Krakusa i Wandę”, „Baśń o Kreku, Neni i żelaznym wilku” i „Bajkę o koniku polnym i mrowce”.

Józef Kostrzewski: W maju ukazała się popularna książka „Prastoiwianczyzna”, przedstawiająca zarys dziejów i kultury Prastoiwian. We wrześniu znacznie się drukować obszerne prace naukowe (około 20 arkuszy druku) pt. „Kultura prapolska” przedstawiająca kulturę materialną, duchową i społeczną naszych przodków w czasie między VI a XI w. po Chr. Wyda ją Instytut Zachodni w Poznaniu. Obecnie przygotowuję „Pradzieje Śląska” dla Instytutu Śląskiego. Mam przygotowaną do druku „Historię badań prehistorycznych w Polsce” i popularne „Pradzieje Polski”. Przygotowuję wydanie rocznika „Slavia Antiqua” z pracami w języku polskim, angielskim, francuskim i rosyjskim, dotyczącymi zagadnień protoindyjskich i najdawniejszej ich kultury, oraz bibliografię wydawnictw z tego zakresu.

Edward Niezabitowski: W druku jest moja praca: „Stosunek człowieka do zwierząt od paleolitu aż do średniowiecza, na podstawie badań własnych” (około 20 arkuszy druku).

Jan Rutkowski: Przed kilku tygodniami wydałem „Dzieje gospodarce Polski”, tom pierwszy — czasy przedrozbirowe. Tom drugi obejmujący czasy porzobrowe był już gotów do druku, został jednak zniszczony w powstaniu warszawskim; odtwarzanie tekstu jest w toku. Razem z prof. F. Bujakiem przygotowujemy do wznowienia „Roczników dziejów społecznych i gospodarczych”; pierwszy powojenny zeszyt jest już w druku.

Szczepan Szczeniowski: W roku bieżącym wydaję w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych dwie książki popularne: „Budowa jądra atomowego” oraz „Zastosowania energii atomowej”. Równocześnie kasa im. Mianowicie, zwalniana obecnie swą działalność, rozpoczyna już druk redagowanego przeze mnie nowego zmienionego wydania drugiego tomu „Zasad fizyki” Witkowskiego („Ciepło” i „Fizyka cząsteczkowa”). Wydanie to przygotowane już było do druku w r. 1939; wojna przerwała rozpoczęty druk.

Opracowuję obecnie skrypt wykładów z fizyki doświadczalnej; dotychczas ukazała się już część pierwsza, „Ciepło”; część druga, „Optyka”, ukaże się w ciągu jesieni. Przygotowuję również do zbiorowego uniwersyteckiego podręcznika fizyki teoretycznej, który ma się ukazać w ciągu przyszłego roku, parę działów, a mianowicie „Termodynamikę”, „Mechanikę statyczną” i „Optykę”.

Zamierzam również napisać w niedalekiej przyszłości obszerniejszą „Fizykę jądra atomowego”, utrzymaną na poziomie czytelnika o wykształceniu licealnym.

Kazimierz Tymieniecki: 1. Wydaję obecnie w Instytucie Zachodnim: 1. „Imperializm niemiecki na tle innych imperializmów światowych”, 2. „Rys dziejowy Niemiec” wspólnie z doc. J. Pajewskim. W wyd. „Czytelnika” pod redakcją prof. N. Gąsiorowskiej: 1. „Starożytność w kulturze wczesnego średniowiecza”, 2. „Formowanie się społeczeństwa stanowego”. W „Kwartalniku Historycznym”: „O państwie polskim w wiekach średnich”. W „Rocznikach Historycznych”: 1. „Prehistoria i historia”, 2. „15 lat Roczników Historycznych”.

2. Przygotowuję obecnie rekonstrukcję spalonych w Bibliotece Raczyńskich rękopisów a w szczególności: „Spoleczeństwa polskiego wieków średnich” (możliwa tylko w części) i „Czasów Władysława Łokietka”.

St. B. Zyranik: Wszystko prawie co pisałem i nawet co przemyślałem wraz z moimi wewnętrznymi „ośrodkami dyspozycyjnymi” uszło z wojną. Obecnie mogę się tylko starać o odtworzenie — choćby tryznow — napisanych, przeważnie nieukończonych prac etnologicznych a po części i literackich i przekładać niektóre utwory z literatury obcych.

Z etnologicznych próbuję przede wszystkim odtworzyć: „Do genezy święta”, „O mitycznej i kultowej trójdiadzie”, „Wetelenia ciemności i śmierci w wyobrażeniach ludowych”, „Kult księżycy u Słowian”, „Okrucy obrzędowości prastoiwiankiej w niektórych dzisiejszych grach i zabawach dziecięcych”, „Okoly i półokoly w Polsce” (z zakresu budownictwa ludowego). O ostatecznym opracowaniu i o wydaniu nie mogę na razie myśleć. Nawigując do mych dawniejszych badań nad odbiciem pewnych wydarzeń historycznych w folklorze polskim (zwłaszcza r. 63 i skąpie) obstawiony zebrany przeze mnie materiałem (r. 40), rozpocząłem zbieranie materiału do okresu ostatniej okupacji niemieckiej w naszym folklorze.

Z dawnych moich przekładów chciałbym przede wszystkim odtworzyć układane latami antologie poematów rosyjskiej i dawniej białoruskiej, ukraińskiej, ormiańskiej, zbiorek pieśni cygańskich, poza tym liryki Chenier, poemat Longfellow i poezje Jesienina.

## JAK NIE NALEŻY MÓWIĆ I PISAĆ

Do redaktora „Odrodzenia”

Pod tym tytułem (z dodatkiem: „po polsku”) napisał w r. 1925 obszerne prace świętyni znawca języka polskiego prof. Adam Antoni Kryński. Do tego też źródła odsyłam Czytelników. Jest nieco rozklekłe, mimo to przeczyta się z wielkim pożytkiem i przyjemnością.

Dziś omówię tylko pewne wyrazy, oprócz dwutrzecz, przez prof. Kryńskiego nie ujęte.

\*

1. Słowa obce, zamiast rodzimych. Wiele osób, zwłaszcza mało inteligentnych, z niedbalstwa, czy też próżności, lubi nadużywać słów obcych, (słia rzeczy wykoślawionych i niezrozumiałych dla ogółu), tam, gdzie bez trudu można posłużyć się słowami rodzimymi. Mówi się niesłusznie:

a) „partycypować”, zamiast „uczestniczyć”, „przyjmować udział”;

b) „antyszambrować” w kancelariach”, zamiast „przesadywać”, „wyczekiwać” (dosłownie: „przedpokojować”);

c) „imputować”, zamiast „zarzucać”, „przypisywać” (zdanie);

f) „sygnalizować” (ukazanie się książki itp.), zamiast „zawiadamiać o...”, „po —”, „podawać do wiadomości”, „zwracać uwagę na”;

g) „skontaktować się”, zamiast „porozumieć się”, „zwrócić się”;

h) „konferencja”, zamiast „narada”, „zebranie”, „zjazd”, „rozmowa”;

i) „larum”, zamiast „wrzask”, „hałas”;

j) „premissa”, zamiast „przesłanka”;

k) „vis-à-vis”, zamiast „naprzeciwko”;

l) „identycznie ten sam”, zamiast „zupełnie ten sam”;

m) „analogiczny”, zamiast „podobny”;

n) „fakt autentyczny”, zamiast „prawdziwe zdarzenie”.

2. Słowa w znaczeniu niewłaściwym: Źródło psychologiczne jak — w p. 1.

a) „wydatny”, zamiast „wydajny”: „wydatny” = „znaczący, wyraźny”, „wydajny” = „produkcyjny, owocny”;

b) „udany”, zamiast „udatny”, „udały”: „udany” od „udawać (np. „greka”); „robiony”, „nieprawdziwy”; „udatny” od „udać się”, „trafny”, „szczęśliwy”;

c) „metr”, zamiast „sto kilo (-gramów)”. W języku ludzi inteligentnych jest m — miara liniowa, m<sup>2</sup> — miara powierzchni, m<sup>3</sup> — miara przestrzeni (objętości); „metr” w charakterze wagi niczym nie może być uzasadniony (dlaczego nie 1 łokieć maki) i wprowadza tylko zamęt (co to ma być metr drzewa; czy 100 kg. czy też 700-800 kg?);

c) „zwolnić”, zamiast „przydzielić”, „przeznaczyć”, „przekazać”, „wydać” (wpływ rosyjskiego „отпустить”);

d) „odprawa”, zamiast „narada”, „zebranie”; niekiedy „pouczenie”, „oznajomienie”; e) „detonacja”, zamiast „wybuch”; „de-tonacja” jest to nie wybuch samostny (eksplozja), lecz „odźwięk” (rezonans) na wybuch.

f) „formalnie”, zamiast „literalnie”, „dosłownie”;

g) „autentycznie”, zamiast „identycznie” = tak samo;

h) „rozchodzi (się) o”, zamiast „chodzi o” (uw. A. Kryńskiego).

## 3. Słowa w formie niewłaściwej.

a) „wziór”, zamiast „wziął”: tak samo, jak „naprzy-za-ob-jał”;

b) „wziąś”, zamiast „wziął”: na przy-za-ob-jać;

c) „mieszka”, zamiast „mieszkał”;

d) „pantomina” (z niem. Pantomine), zamiast „pantomima” (z greckiego: „mimi” (aktorzy rymscy), „mimikria” (upodobnienie), mème (franc. „ten sam”, „podobny”), „mimicje” (fińskie „człowiek” = podobny) itp.);

e) „prowincjonalny”, zamiast „prowincjonalny”: od „provincia” ae. ale „racjonalny od „ratio”, -onis, „rationalis”, „regionalny” od „regio”, -onis, -onalis”. Fakt, że słowo „prowincjonalny” spotykamy nawet u znanych pisarzy, nie dowodzi jego poprawności;

f) „kwadrans”, zamiast „kwadrans”, jak „kwadra” (księżyc), „kwadrat”;

g) „zadowolony”, „zadowolony”, zamiast „zadowolili”, „zadowolony”, „zadowolenie”, jak „wy-po-ze-zwolenie”; jednak „zwolnić”, „zwolnienie”, „dowolny”;

h) „wpół”, zamiast „pół”: „o wpół do trzeciej”, zamiast „o pół do trzeciej”;

i) „świtek”, zamiast „świtek”, od „wić”, „swity”, „zwity”;

j) „budyń”, zamiast „pudding = „kasznik”, „kisiel”;

k) „procenta”, „procent”, zamiast „procenty, procentów”.

4. Słowa zbędne, bezsensowne, jako bardzo wątpliwa ozdoba rozmowy:

a) „panie!”, „Dlaczego, Marysiu, nie znasz, panie, lekcji?”;

b) „nie!”, „Poszedłem do domu (nie?) i powie-działem”;

c) „prawda!”, „Chorowałem (prawda?) dość długo”;

d) „rozumiesz pan!”, „Kupuję, rozumiesz pan, papier, idę, rozumiesz pan, do domu i piszę „rozumiesz pan, list”.

Inż. J. Korwin-Piotrowski (Warszawa)

## SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia”

Littera docet, littera nocet... Zmiana jednej litery w moim artykule w numerze „Odrodzenia” z dnia 11 sierpnia br. zmienia istotę zagadnienia i odpowiedzialność. W pierwszej kolumnie, w wierszu szóstym od dołu ma być musza —

# Zamiast wstępu

W Stanach Zjednoczonych ukaże się wkrótce w druku książka Cezarego Szaszkiwicza „Umarli żyją”. Ksawery Pruszyński poprzedził ją takim wspomnieniem:

— Oh, Pruszyński, there is a letter for you! List do mnie jest na papierze szpitalnym „Eden hall hospital, Edinburgh” i siostra z mojego szpitala, Apley Park Hospital, Bridgnorth, Salop, uśmiecha się życzliwie. Wie, że nie ma angielskiego szpitala, gdzieby nie było Polaków: ze spadochroniarzy, z Włoch, z Belgii, z Holandii, bez nóg, bez rąk.

Kiedyś w Anglii było barwno od czerwonych naszywek „POLAND” — dziś ludzie w tramwajach, autobusach i pociągach rozstępują się przed inwalidami polskimi.

Nie braliśmy darmo obcej gościny! — Pan się ucieszył listem — mówi siostra Knight — to list od pańskiego przyjaciela pewno?

— Nie — miss Knight — od mojego dawnego dowódcy...

— Oh, od tego chłopca, którego oślepiła niemiecka mina?

— Nie, nie od porucznika Kołka. Nie od tego, z którym byłem pod Falaise i który leży w Queens Elisabeth Hospital, Birmingham. Od mego pierwszego dowódcy; jeszcze spod Narviku...

— Oh, you never spoke about him, Xaver!

— For it is a sad, very sad story, miss Knight. Był moim dowódcą plutonu w Nor-

wegii. W maju 1940. Poszedłem z nim na front jako dowódca drużyny. Potem byłem jego zastępcą. Spędziliśmy razem z całym plutonem 36 długich godzin na dalekiej placówce górskiej nad samym Narvikiem. Byliśmy odcięci. Niemcy prażyli do nas z trzech stron. Noc polarne są białe, więc i wtedy widzieli nas jak w dzień i walili jak do celu. Na dwunastu chłopców mojej drużyny pięciu było rannych. Kiedy zesza mgła i mogliśmy się wycofać i przyszedł generał i nas dekorował, pluton stopniał z 41 do 16.

— Oh, to wtedy otrzymał pan ten swój krzyż?

— Tak, ten pierwszy. Drugi za Normandię. I wstążeczka za rany. Oto mój cały dorobek wojenny, miss Knight...

— No i książki...

— Za które polscy wydawcy w Ameryce nie chcą płacić, sami żyjąc, jak trutnie z cudzego miodu? I krwi. Tak, miss Knight. Ale mój los był szczęśliwszy. Gorszy był mego dowódcy...

— Oh!...

— Niech pani posłucha. To może dobrze, abyście wy, Anglicy, wiedzieli. Mój porucznik, jak i my wszyscy, znalazł się po Narviku we Francji. Posłano nas w ostatniej chwili do Francji, gdy Hitler szedł na Paryż, aleśmy już przybyli za późno. Francja przestała walczyć. Nasza brygada została rozpu-

szczona, a kto chciał walczyć dalej, przedzie- rał się na południe. Jedni — wygodnie — autem, drudzy na piechotę... Mój porucznik szedł ze swoimi żołnierzami. Na piechotę. przez całą Francję; z bronią w rękę, pomiędzy Niemcami! Wielu przedostało się potem pojedynczo do Anglii. Ale porucznik Cezary Szaszkiwicz nie chciał opuścić swych żołnierzy. Przedostał się z nimi do Francuskiej Afryki Północnej. Poszedł z nimi do obozu pracy — i tknął w Afryce kamienie na szosach, jak żołnierze. Trwało to przeszło dwa lata. Gdy inwazja amerykańska wyzwoliła Marokko i Algier, przewieziono go z jego żołnierzami do Anglii. Do szpitala...

— What was the matter with him?

— Bardzo proste. W Norwegii leżąc kilkadziesiąt godzin na placówce, na mokradłach, które raz zamarały, to znów rozmarzały, zależnie od pory dnia, ranny nabawił się rzadkiej a straszliwej choroby. Potem marsz przez Francję nie pomógł tym jego nogom. Przede wszystkim zaś praca po kolana w zimnej wodzie w obozie we Francji, w zimie roku 1940/41, zaszkoziła mu do reszty. Gdyby wtedy poddał się kuracji, byłby je pewnie ocalił. Ale on miał swych żołnierzy, nie chciał, aby ich Francja-„Vichy” posłała do Niemiec i sam poszedł z nimi na Saharę.

Nie mógł pan zrobić nic gorszego dla swego zdrowia — powiedzieli potem lekarze.

Nie mogłem zrobić nic lepszego dla moich żołnierzy — odpowiedział porucznik!

Miał rację. Doprowadził do Anglii wszystkich swych żołnierzy i nie nagrodzony nawet żadnym odznaczeniem, które otrzymali inni, dowiózł ich tutaj. Ale lekarze mieli też rację, gdy musieli mu obciąć obie nogi, powyżej kolan!

— How sad, how very sad...

— Yes, very sad indeed. I pozostał młody, dziś bez nóg, bez grosza prawie, człowiek pełen życia, pełen energii.

— Przeczytałem jego kilka opowiadań z tej Sahary i Norwegii. Jakże wielkimi oczyma patrzy na ten afrykański i norweski świat. Jak pojmuje jego zagadki! Jak umie widzieć!

— Czy mogę zobaczyć co mi pisze? Pani ciekawa?...

— Well, ach tak. Więc pisze, że chcą to wydać w Ameryce, że znaleźli się tam jacyś rzetelni wydawcy, którzy ocenili całe piękno i prawdę i ludzkość tych jego opowiadań norweskich i afrykańskich. ...I abym ja napisał jakiś krótki wstęp. ...Ale co ja napiszę?...

— Może po prostu to, co mi pan o nim tu powiedział, Pruszyński!

— D'you think it would be enough?

— Oh! I am sure, it is!

Ksawery Pruszyński

## Duchy poetów podsłuchane

Podsłuchuje Kazimierz Wyka

JÓZEF WITTLIN

HYMN NA ROZSTANIE OJCA Z SYNEM  
WYRUSZAJĄCYM NA WOJNĘ

Jam jest ojciec,  
z którego ciała  
zrodzona ta dziewczyna.

I obnaż ciębie  
i ubranko zwłoka,  
to ubranko lice,  
cośmy ci z bielskiej welenki sprawili.

A potem posoka  
pomaza ci liczko ciche,  
bys krwi sie nie przelaki,  
co z ciebie i drugich beda toczyli.  
Wolalbym, azebys synem byl mi marnotrawnyr  
i sto na twój powrót zarzezałbym cięlat,  
niż synem wiernym jakiegoś tam pułku.

Larum mi grajcie trębaczce, larum,  
mego synaczka widzieć chce.

O synu! synu!  
O przyjdźcie sąsiedzi,  
placzu słuchajcie  
i bólu, co jak cierań w ranie serca sładzi.  
Jego ciakko obnaża,  
to ciakko we włoski,  
ów twór pierwszy boski,  
i wzrost mu będą mierzyli  
i zęby w usłech liczyli,  
czy ma ich dość, by moc gryźć wraź.  
Larum mi grajcie, trębaczce, larum,  
mego synaczka widzieć chce.

A potem mundur nań szorstki zawleka,  
i włosy ostrzyga, co tak były w przedział —  
lecz gdzie polegiesz, lecz nad którą rzeka,  
ja, twój ojciec, nie będę wiedział.

I buty mu wciągną gwoździami nabite  
i straszny karabin i szablę i pas —  
i z każdym tak będzie, każdy z tym zaszczytem  
pójdzie, czy ojcem mu ja, czy kto z was.

Hymnem tym pragnę uczcić pamięć mego nienarodzonego syna.

TADEUSZ PEIPER

BY

By noc by noc co noc by noc co noc kotletem  
by noc co noc nie bila kotletem marzeń  
by dzień by dzień co dzień w mdle okna nędzarzy  
by dzień co dzień flagami nie warczał w świetle  
flagami nie warczał w obłych wnętrzościach sady  
by słowo, by słowo krwistej nadziei nabiegło  
słowo nadziei w tętnicach drzewów dzierżących pochody  
by słowo nabiegło powtarzam ja, co noc co noc  
powtarzam werbel, ja składacz zaimków wydrążonych,  
powtarzam, — by  
by

JÓZEF CZECHOWICZ

U MLYNA

siwych oczek rybich lusek  
sen  
marudny sen  
siwych oczek u potoka  
lniane liny  
len

chmurą gwiazdka siwa brewka  
gdzie u mlyna sum  
suną bliwy oczka rybie  
dnem

wieś terkocze  
tam derkaczy mgłą  
cień  
u warkoczy sny

JÓZEF LOBODOWSKI

HYMNICZNE

W obłokach dzwony kamienne. W otchłaniach huczy śpiew.  
Błyskawicę kępy jak osty burzami chwieją nocnymi,  
chmur cienie, jak płamy zarazy, polacie skrywają ziemi  
i ciała pokotem się kładą piorunem pobitych dziew.  
Płomienie, krwawe ulewę, tatarskie niszczące szable  
Temurlan wiedzie po szlakach, co znać zbielele kości.  
O portów mola jak mewy ostatnie się tłuła korabie,  
ziemię od gwiazd zagasył huragan wymiatał nieoście.  
W sadach na krągłe jabłka chłopięca się kładzie dłoń  
i marzy radosny taniec biodr,  
marzy spoczynkiem ujętą skroń,  
nim dziejów chrapliwy dosięgnie go pościg.

## Z niebieskiej teczki

Z listu Lenartowicza do Estkowskiego: 18 sierpnia 1850 r.:

Bardzo gorzkim chlebem dzielę się z tobą, mój przyjacielu — pisałeś mi o sprawie Żyda, którego akademicy wrocławscy nie przyjęli do swego słowiańskiego stowarzyszenia... Zapewne, że to zakrawa na średniowieczność, studenci nie powinni byli sobie tak postąpić, wszakże, o ile wiem, ta sprawa nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona, i sądzę, że się da jakoś rzecz tę załagodzić, tylko tam Brzezińskiemu Tomkowi powiedz, żeby odstąpił od swego zdania, bo jak mi mówił Szultz, on był powodem, że przez niego stało się to zamieszanie, te jakieś niepotrzebne kwestie.

Przysłowie ludowe („Wisła”, t. III, str. 217):

Uczepiła się baba Żyda, że jej ksiądz drogę przeszedł.

Z „Pamiętników Oryginała” Narcyza hr. Olizara:  
...wielki był to gospodarz, ale pewien jestem, że był nawet i farmazon.

— Farmazon? — zawałatem — po czymże pan to poznaje?

— Po czym! — odpowiedział pan Piniewski — po wszystkim. Ot! niech pan patrzy — dodał, pokazując ręką na trzy brzozy w trójkąt rosnące na łanie — a co! nie farmazon! A te stodoly także zabudowane w trójkąt! a tam!...

— Trudno wątpić po tak jasnych dowodach — odpowiedziałem.

Z „Myśli Narodowej” 1924, nr 13:

Mac Kinleya zabił, o wampiry, padalce i wilkołaki. Polak Ciołgosz. Czy z tej racji zaczęły się represje na Polaków? Czy może zaczęły się areszty? Prześladowania? Banieje? Czy z tej racji, że to był Polak, na wszyst-

kich Polaków padło podejrzenie, że są współwinni? Prezydenta Sadi Carnota we Francji zabił Włoch Caseiro. Czy z tego powodu rozpoczęło się szkalowanie i szuczenie na Włochów, o wampiry, padalce, wilkołaki i strzygi. To samo w Austrii: gdy zamordował Włoch cesarową Elżbietę, czy zaczęto uogólniać i zwać winę za mord na wszystkich Włochów?

Z „Wisły” (t. XIV, str. 689):

Wotiacy nie widują nigdy Żydów, więc na podstawie opowiadań wytworzyli sobie o nich dość niezwykle wyobrażenie. W Moszkow („Żiwaja Starina”, 1909, str. 202) zapytał raz żołnierza Wotiaaka, czy towarzysze jego nie bali sięjechać do tak dalekiego i obcego dla nich kraju jak Polska? „Strasznie baliśmy się — brzmiała odpowiedź — bo nam powiedziano, że w tych stronach mieszkają Żydzi. U nas myślą, że Żydzi to olbrzymy, którzy łapią i pożerają zwykłych ludzi. Dlatego też, gdy nam pierwszy raz pokazano Żyda, nie mogliśmy w żaden sposób uwierzyć, żeby taki wąty człowiek, z których dziesiątkiem sam jeden poradziłbym sobie, był owym groźnym ludożercą.”

Z listu księdza Mikulskiego do redakcji „Jutrzenki”, 1861, nr 11:

Na horyzoncie polskim zabiły dla plebienia Izraela Jutrzenka. Cieszę się całą potęgą serca i pragnę, by tak, jak nas wszystkich, tak i to plebie, pełne Bożej łaski ogarnęło słońce... Pragnę, by różnica wiary nie rozdziałała już więcej synów z jednej ziemi i starym wielkim przybyszom z Palestyny nie odmawiała zyskanego tylu wiekami obywatelstwa. Mam w Bogu nadzieję, że Jutrzenka spoza starych szczytów Syjonu wschodząca, rozpędzi, przy naszych wspólnych wy-

siłkach, ciemności, w jakich tak z jednej jak i z drugiej strony brnęli mniej oświeceni bracia, spychając się wzajemnie w przepaść pogardy i nienawiści... Miłość, braterstwo, to tylko zbliżyć może synów jednego Boga do siebie, a więc serce do serca.

Z książki „Dziwne życia Polaków i Polek” Michała Czajkowskiego (Łipsk 1865):

Upatrywano w nim (w generale Chrzanowskim) fizjognomię tatarską nawet — chociaż kronika wyraźnie mówi, że pani Chrzanowska, bohaterka Trębawli, i jej dzielny mąż byli neofici, a neofitami nie zwano nawróceńców „Tatarów. Nie lubił Ukrainców, tak jak nie lubią frankiści i semici, a krew się zmieszała zemstą za dawne psoty.

Trzy aforyzmy Adolfa Nowaczyńskiego:

— Nienawiść rasowa przypomina często antysemitom, że należą do chrześcijańskiego kościoła.

— Że cała nowa sztuka jest w tajnym porozumieniu i związku z masonami i paryską lożą wolnomularzy, udawadnia to bardzo dowcipnie krakowski „Przeгляд Powszechny” (pismo jezuitów — przyp. red.) nazwany przez hrabiankę Kasię XV pięknie „isle de hermaphrodites”.

— Jakaś banda albeńska... zwaça się Wszech-Polakami, chciała, dopóki jej nie zrzuciono czapkami, aby Polska była nie Chrystusem narodów, ale botrem z lewej strony, a Polacy, aby nie byli tylko Francuzami Północy, ale i Prusakami Wschodu. Byli tu przezwadnie skrachowani studenci, którzy chytrze spekulując pożenił się bogato i wspólnym kosztem kupili monopol na patriotyzm.

Zdanie papieża Innocentego III:

Falsitas tolerari non potest sub velamine

pietatis. (Nie wolno pod osłoną pobożności tolerować fałszu.)

Jean François Regnard „Voyage de Pologne” (w „Oeuvres”, Paris 1789; Regnard był w Polsce w r. 1681):

Ils sont (les Juifs) l'éponge qu'on presse de temps en temps, et particulièrement lorsque l'état est en danger.

Z „Przypowieści Salomonowych”:

Choćbyś stłukł głupiego w stępie jako krupy, bijąc z wierchu stęporem, nie będzie odjęte od niego głupstwo jego.

zebrał J. T.

## W teatlach krakowskich

„Cień” Nicodemiego

w teatrze im. J. Słowackiego

Ten epizod dramatyczny, rozsnuty na uczuciach i myślach najprostszych, nie poddający ludzkich przeżyć głębszej analizie, ale w tym, co daje, prawdziwy i wzruszający, ma dla teatru przede wszystkim jeden mocny walor: rolę Berty Tregnier. Rolę. Okazję, w której aktorka rozwinąć może rozległą skalę środków artystycznych.

Jaroszewska rozwija ją olśniewająco. Z bogactwem opanowanym przemysłaną budową. Dla każdego uczucia ma właściwą twarz, właściwy układ ciała, właściwą intonację, a jej skala głosowa zaskakuje rozpiętością, którą należy wpisać między rzadkie zjawiska aktorstwa kobiecego.

Urządzenie sceny Tadeusza Barweckiego — niemał bez zarzutu.

tp